tygodnik społeczno-kulturalny
Łódź odgłosy
NR 28 (1231) ROK XXIV 12 LIPCA 1981 R. CENA 7 ZŁ

NA KWADRANS PRZED ZJAZDEM

W ubiegłym tygodniu zakończyliśmy cykl „sprawozdawczy" z kampanii przedzjazdowej. Cudzysłów ma zwrócić uwagę Czytelników, że nie chodziło nam głównie o relacje o przebiegu konferencji: od zakładów do szczebla wojewódzkiego. Przy niewielkiej objętości pisma nie mieliśmy możliwości pełniejszego zdokumentowania tych ważnych wydarzeń w życiu partii naszego regionu.

Z podobną sytuacją mamy do czynienia w bieżącym numerze, prezentując sylwetki delegatów na zjazd. Krąg ludzi, których poglądy chcielibyśmy zaprezentować liczy grubo ponad sto osób. A jakie mamy możliwości? Zaprosiliśmy więc do wspólnej rozmowy kilku delegatów z Łodzi. Nasz reporter wybrał się też z magnetofonem do ościennych województw. Mimo jednak tej skromnej reprezentacji mamy nadzieję, że ich wypowiedzi: odpowiadające powadze chwili, a przy tym otwarte, szczere i bezkompromisowe — przynajmniej w jakimś stopniu dają się uogólnić, jako opinie pod którymi mogłaby się podpisać większość nie tylko delegatów, ale i tysiące tych członków partii, którzy obdarzyli ich swoim mandatem zaufania.

Oczywiście, zrozumiałe jest, że każdy z poproszonych o zabranie głosu delegatów patrzy na sprawę głównie poprzez pryzmat potrzeb i nadziei swego środowiska. Tak rozumieją swoją rolę i jest to słuszne. Ale w tych głosach, jak we wszystkich rozmowach w całej partii, jest wspólny mianownik: sprawy partii i narodu widziane jako całość, z którymi IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR musi się zmierzyć. Zmierzyć skutecznie! Takie są nadzieje związane z tym najważniejszym wydarzeniem 36-lecia, chociaż z drugiej strony winna nam towarzyszyć świadomość, że zjazd nie będzie i nie może być cudownym panaceum na natychmiastowe rozwiązanie niesamowicie trudnych problemów, z którymi trzeba się będzie zmagać przez długie miesiące i lata.

Rekomendując na naszych łamach opinie delegatów na IX Zjazd warto przy okazji zaznaczyć, że mamy już nowe władze wojewódzkie i wypadałoby je też w jakiś sposób zaprezentować. Sprawa to przecież dużej wagi: jakim ludziom powierzono kierowanie instancjami? W tej chwili możemy tylko obiecać, że uczynimy to po zjeździe, już w warunkach codziennej pracy naszych mandatariuszy. Może to i lepiej, bo już będzie można mówić konkretniej. W każdym razie obiegowe opinie są dość jednomyślne: pokoleniowa zmiana warty w partyjnych ogniwach kierowniczych nie jest żadnym nieszczęściem, a wzmacniającym zastrzykiem świeżej krwi, tak potrzebnym partii przed najtrudniejszą batalią.

Piszę te słowa na tydzień przed zjazdem. Chciałbym więc wszystkim delegatom złożyć życzenia „dobrego zjazdu", dać wyraz powszechnemu odczuciu, że „zjazd musi być udany". Zaś nowym władzom u samego startu życzyć aby wszystkie swe siły zmierzyły z zamiarami.

JERZY WAWRZAK

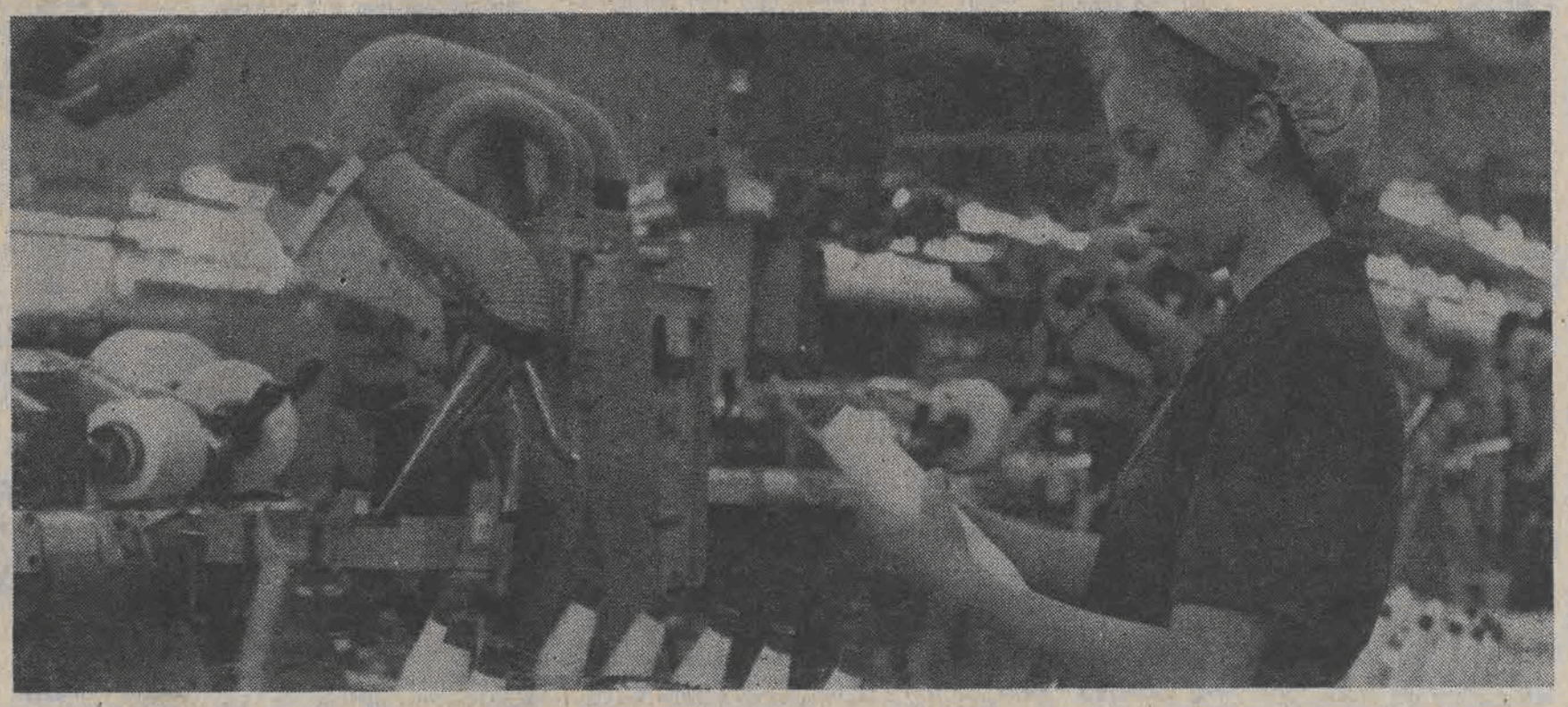

„...większość zakładów branży wełnianej, wykona założone plany. Więc jednak się kręci". Foto: R. Łucyszyn

nasza sonda nasza sonda

RÓŻNE STOPNIE „OPTYMIZMU"

Braki na rynku kosmetykow są — obok żywnościowych — najdotkliwsze. I tu — podobnie jak tam — uderzyły one w artykuły o znaczeniu podstawowym — niezbędne dla utrzymania higieny osobistej. W wielu drogeriach sprzedaż proszków do prania, mydła, szamponu, a ostatnio nawet żyletek objęto cichą reglamentacją. Sytuacji tej na dłuższą metę nie ratuje pomysłowość ludzi: przez jakiś czas można przecież myć brudne talerze płynem do mycia szyb, w pralkach stosować proszek „Robot" do zmywarek, a zęby szorować wodą z solą... Ale jak długo?

Mamy w Łodzi trzy zakłady przemysłowe produkujące na zaopatrzenie drogerii. Są to „Wizamet", „Pollena-Ewa" i „Organika". Wytwarzane przez nie asortymenty obejmują niestety tylko część listy braków. Jest to jednak część istotna, mogąca mieć spory wpływ na stan zaopatrzenia — w trzech przynajmniej grupach towarów — na terenie Łodzi. Jak wygląda ich produkcja?

Przed odwiedzinami w fabrykach mini-sonda na dużym kosmetycznym stoisku w Spółdzielczym Domu Handlowym „Central". Jest początek lipca...

CASUS PIERWSZY: ŻYLETKI

W „Centralu" ze zdziwieniem oglądam rozsypane na ladzie pudełka żyletek. Tego samego dnia usłyszałem w „Lecie z radiem", że w Warszawie żyletki trafiły już nawet do rąk spekulantów, a cena jednej osiągnęła na „czarnym rynku" wysokość 25 złotych! Skąd się to bierze? Jesz-

Dalszy ciąg na str. 2—3

Ryszard Binkowski

CO MYŚLI KROWA?

Chodziły sobie owe Boże stworzenia po zielonych pastwiskach, przeżuwały spokojnie, wylegując się na słomie w ciepłych chłopskich oborach, i dawały uczciwie dużo tłustego mleka. Raz do roku dostarczano im dla przyjemności prawdziwego byka z rogami. Aż tu raptem na poczciwe polskie krowy posypały się plagi. Najpierw zaczął je nawiedzać tzw. byk w kapeluszu, dysponujący nasieniem prima sort z termosa. Aliści okazało się po latach, iż stado polskich krów uległo degeneracji. W celu odnowienia kupowano rasowe byki z zagranicy. Ostatnio sprowadzono jednego z Holandii i puszczono na pastwisko w Olsztyńskiem. Byk miał zawyżone parametry i gabaryty, połamał kości kilku jałowicom, innym zaś spłodził takie monstra, że 50 proc. ciężarnych nie mogło się wycielić. Wiele cieląt urodziło się martwych.

Potem dla krów zbudowano stanowiska po 100 tys. złotych. Krów przybywało, a mleka ubywało. Ano cóż, zamiast zamierzonych wspaniałych fabryk mleka, powstały betonowe bloki dla jałowych, okaleczonych, zestresowanych zwierząt. Krowy pędzi się po betonowych rusztach, na betonowy wybieg, do dojarni, na porodówkę na zabiegi weterynaryjne, itd. Całe życie na betonie, w długiej, zimnej, betonowej hali. A przecież krowa musi wyjść na pastwisko, odetchnąć słońcem, powietrzem, wypocząć. W takich warunkach 30 procent krów trzeba przeznaczać na rzeź wskutek okulawienia. Wokół ferm gigantów ziemi za mało, toteż paszą staje się także słoma. Część ukradnie człowiek. Dwie krowy dostają tyle paszy, ile potrafi zjeść jedna. Dwie krowy dają tyle mleka, co jedna dobrze żywiona, przy czym mleko jest złej jakości. Jak krowa

Dalszy ciąg na str. 2—3

WIELE MOŻE NAS RÓŻNIĆ — ALE NIE DZIELIĆ

Naszą rozmowę odbyliśmy na 17 dni przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem PZPR; ukaże się ona w druki kilka dni przed zjazdem. Czasu do otwarcia zjazdu zostało bardzo mało. A jest to czas, który w przekonaniu nas wszystkich nie może być zmarnowany. Ze zjazdem, przebiegiem jego obrad, z jego uchwałami i postanowieniami wiążemy wszyscy ogromne nadzieje. Jak więc wykorzystać ten krótki czas, jaki został do zjazdu? Jakie wnioski wynikają z przebiegu kampanii wyborczej? Jak dalegaci przygotowują się do zjazdu? Oto pytania, z jakimi zwróciliśmy się do kilku delegatów na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR. Do rozmowy zaprosiliśmy:

— **MARKA BARTOSIKA** — adiunkta w Politechnice Łódzkiej, sekretarza KU PZPR w PŁ,
— **SZCZEPANA JÓŹWIAKA** — lekarza medycyny,
— **JACKA KOWALIŃSKIEGO** — mistrza, I sekretarza KZ PZPR w „Polanilu",
— **IRENĘ STASIŃSKĄ** — kierowniczkę introligatorni w Zakładach Graficznych Wydawnictw Szkolnych,
— **LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO** — naczelnego redaktora „Głosu Robotniczego".

„ODGŁOSY": — Do tej pory tak bywało, że przed każdym zjazdem partii delegaci spotykali się z członkami partii w różnych organizacjach. Teraz też są takie spotkania, ale przede wszystkim mówiło się, że przygotowania do tego zjazdu mają odbywać się inaczej. To znaczy: jak?

M. BARTOSIK — Mieliśmy zamiar przygotowywać się inaczej i przygotowujemy się inaczej. Mieliśmy taki zamiar, że w miarę wybierania delegatów w zakładach pracy, a później na konferencjach wojewódzkich, miały powstawać wojewódzkie zespoły delegatów, dzielące się na zespoły problemowe. Następnie miał powstać centralny zespół delegatów składający się z upoważnionych przedstawicieli zespołów problemowych delegowanych przez wojewódzkie zespoły delegatów. Przewidywaliśmy między innymi zespół do spraw statutowych, a także kadrowych.

„ODGŁOSY": — Był to projekt łódzkich delegatów?

M. BARTOSIK: — Tak. Kiedyśmy wyszli z taką inicjatywą, do zjazdu było nieco mniej niż 80 dni. Teraz do zjazdu jest troszkę więcej niż dwa tygodnie, a centralny zespół nie powstał. Dlatego ja traktuję hasło, że zjazd przygotowują delegaci i KC, jako hasło bez pokrycia. Hasłem tym posługują się niektórzy towarzysze z kierownictwa KC. A dlatego jest ono bez pokrycia, że KC do tej pory nie podjął żadnych przedsięwzięć organizacyjnych, w wyniku których mógłby powstać centralny zespół delegatów.

„ODGŁOSY": — Dlaczego jest to takie ważne?

M. BARTOSIK: — Jest to podstawowy błąd organizacyjny i merytoryczny. Na zjazd może w tej sytuacji przyjechać 49 delegacji, każda z własnym poglądem na różne sprawy; poglądy te w skali kraju mogą się znacznie różnić i może zamiast zjazdu partii odbyć się sejmik. A była możliwość już wcześniej przedyskutowania całego szeregu problemów i przygotowania dla zjazdu pakietu uzgodnionych propozycji wymagających dyskusji, bądź tylko głosowania. Na przykład sprawy projektu Statutu PZPR. Dyskusja nad tym zaczęła się wcześniej, wystarczyłoby więc tylko w stosunku do projektu Statutu przygotowanego przez Centralną Komisję Zjazdową zgłosić poprawki wariantowe, tam gdzie to jest potrzebne, gdzie występuje różnica poglądów, przedyskutować te poprawki w centralnym zespole delegatów i przedstawić delegatom na zjazd warianty do rozważenia i głosowania. Uniknęłoby się w ten sposób czczej gadaniny, powtarzania w kółko tego samego i straty czasu.

L. WŁODKOWSKI: — Dlaczego to jest takie ważne? Dlatego, że w niektórych ośrodkach organizacje partyjne wojewódzkie, poprzez swoje komisje zjazdowe opracowały stanowiska, programy, kompleksowe materiały, który krytycznie odnoszą się do „Założeń programowych" Centralnej Komisji Zjazdowej. Takie dokumenty powstały w Krakowie, Gdańsku, Poznaniu, Wrocławiu, Łodzi. Trzeba je porównać, ustalić problemy, gdzie występuje zgodność i o tym już nie dyskutować, ustalić rozbieżności i dyskutować tylko nad tym. Takie postępowanie znacznie uprościłoby dyskusję na zjeździe i stanowiłoby gwarancję, że uchwały zjazdu będą precyzyjne i takie, na jakie oczekuje partia i społeczeństwo. Inaczej rzeczywiście można się obawiać, że zjazd zamieni się w nieustający sejmik.

„ODGŁOSY": — O ile dobrze pamiętam, delegaci z Łodzi wystąpili publicznie z taką propozycją. Nie została więc ona podjęta przez inne ośrodki?

M. BARTOSIK: — Podjął ją nawet Komitet Centralny, ale nie poszły za tym konkretne działania organizacyjne. Inicjatywa ta ma już swoją historię. W czasie spotkania „O głos robotniczy w „Głosie Robotniczym", które miało miejsca gdzieś pod koniec kwietnia, padła właśnie taka propozycja, aby powołać zespół delegatów.

L. WŁODKOWSKI: — Który zgodnie z duchem czasu został następnie nazwany „Forum delegatów".

M. BARTOSIK: — Informacja o tej inicjatywie ukazała się w „GR" i teleksem została przekazana do KC. Prasa partyjna innych regionów nie podjęła tego, kanały PAP dla tej inicjatywy okazały się niedrożne, partyjne kanały informacyjne również. Po pewnym czasie, kiedy nic się nie działo, a delegatów przybywało, wystąpiliśmy z listem otwartym do towarzysza Stanisława Kani. Tekst tego listu spopularyzowaliśmy na różnych spotkaniach, które się w tym czasie odbywały, opublikował „GR", podjęły niektóre inne gazety partyjne i w wyniku takiego działania odbyło się jedyne — jak do tej pory — spotkanie delegatów w Warszawie. Było to pod koniec maja. Na tym

Dalszy ciąg na str. 5

NASZA SONDA

RÓŻNE STOPNIE „OPTYMIZMU"

Dalszy ciąg ze str. 1

cze nie tak dawno przecież ekspedientki wręcz namawiały klientów do kupowania całego pudełeczka żyletek, ludzie brali po jednej, dwie... A teraz zaczęli wynosić kartonami, aż trzeba było wprowadzić reglamentację.

Okazuje się, że żyletki są dobrym przykładem obrazującym rozchwianie mechanizmu popytu i podaży, wielką nerwowość rynku, a także wpływ na jego stan irracjonalnych reakcji ludzi. Oto bodaj w maju rozchodzi się pogłoska, że w „Wizamecie" może zabraknąć importowanej taśmy stalowej do produkcji nożyków. Ludzie rozumieją: skoro taśma pochodzi z importu, a import gwałtownie ogranicza się, to znaczy... — nie trzeba kończyć. Plotka pada na żyzny grunt narastającej z dnia na dzień psychozy „braku wszystkiego": do kiosków i drogerii rzucają się już nie tylko mężczyzni, którym żyletki są najbardziej potrzebne ale i babcie, dzieci..., ludzie gromadzą zapasy wystarczające i na... 5 lat (bo w takim czasie można zużyć całe pudło „Polsilverów" przy założeniu, że jedna żyletka wystarcza na tydzień...). Ochłonąwszy — w domu — stwierdzają absurdalność tak wielkich zakupów, albo... zacierają ręce, będzie dobry „biznes"!

Sonda w handlu wskazuje na bardzo nierównomierny stan zaopatrzenia. W jednym kiosku „Ruchu" żyletek nie widziano od 3 tygodni, w innym były jeszcze w zeszłym. Klienci uganiają od kiosku do kiosku. Nie każdy przecież ma pod nosem „Central" gdzie jest patronackie stoisko „Wizametu" które jeszcze 12 czerwca — na wieść o nagłym wykupywaniu żyletek — otrzymało wprost z fabryki partię 99 tys. sztuk, to jest tyle, ile wynosiły dotąd całoroczne dostawy. W „Centralu" więc — na przełomie czerwca i lipca — żyletki były w ciągłej, acz ograniczonej sprzedaży (po dwa pudełka). Czy można to potraktować jako zapowiedź szybkiej stabilizacji podaży żyletek? Czy producent jest przygotowany do tego rodzaju „skoków popytu"?

Do dyrekcji Łódzkich Zakładów Wyrobów Metalowych „Wizamet" — produkujących od 1968 roku żyletki na licencji angielskiej firmy Wilkinson" — również dotarła plotka, ale dyrektor mgr inż. *Konrad Kociński* zapewnia że jej pochodzenia nie należy szukać w fabryce. *„Wizamet" ma zapas surowca co najmniej na pół roku, pracuje pełna para. Plan* — podobnie jak w zeszłym roku — *jest wykonywany: przestojów nie było, ba, fabryki nie trapią nawet kłopoty energetyczne.*

Zgodnie z planem zatwierdzonym przez Konferencję Samorządu Załogi zadania ilościowe na rok 1981 są co prawda mniejsze niż w ubiegłym roku (400 mln zamiast 410 mln sztuk nożyków), ale dotyczy to głównie eksportu. *Rynek krajowy otrzyma więcej niż w 1980 roku: 220 mln (zamiast 210 mln) sztuk.* W I półroczu z „Wizametu" skierowano na rynek prawie 113 mln żyletek (w trzech typach: „Polsilver", „Iridium Polsilver", „Iridium Super").

Jest to o ponad 1 mln 200 tys. więcej niż planowano. A przy tym wykonano — do 30 czerwca — roczny plan eksportu na drugi obszar płatniczy.

Plan dostaw do Łodzi zakładał w I półroczu 5 mln 790 tys. sztuk. Plan ten zrealizowano do 26 maja.

— Po krachu podjęliśmy jednak decyzję rzucenia na rynek dodatkowo trzystu tysięcy sztuk — mówi dyr. Kociński.

Najwięcej z tej ponadplanowej liczby otrzymało „Społem" (211 tys.), „Ruch" o połowę mniej. I tym można chyba sobie tłumaczyć nierównomierną obecność żyletek w kioskach „Ruchu" i „społemowskich" domach handlowych.

Dyrektor K. Kociński jest umiarkowanym optymistą... — *Moim zdaniem* — mówi — *nasz zakład jest jednym z nielicznych, które jeszcze całkiem dobrze prosperują... Niech więc się ludzie nie martwią, w tym roku żyletki będą — zapewnia. „Umiarkowanie" dyrektora bierze się jednak z niemożności przewidzenia jakiegoś niespodziewanego krachu w imporcie. W obecnej sytuacji wszystko jest możliwe — to stały refren powracający w rozmowach z producentami. Wynika on z poczucia realizmu, a nie z chęci siania paniki.*

Czy jeśli zabraknie angielskiej, szwedzkiej i japońskiej stali, „Wizamet" trzeba będzie zamknąć? Polskie hutnictwo nie wytwarza taśmy do produkcji żyletek (podobno nie opłaca mu się produkowanie tak małych ilości odpowiedniej stali). Ale w łódzkim „Wizamecie" widzą jednak pewne możliwości, choć — na razie — mgliste. Dyrektor Kociński powiada. — *Dotąd fabryka podlegała Ministerstwu Maszyn Ciężkich i Rolniczych. Teraz będziemy z „maszynówką" i resortem hutnictwa. A może uda nam się „wydębić" te trochę stali z naszych hut?*

Byłby to dalszy krok w podejmowanych przez fabrykę działaniach antyimportowych. Na razie objęły one część maszyn. Ważną ich cześcią jest współpraca z polskimi naukowcami, np. Politechniki Łódzkiej, dzięki którym rozwinięto licencję „Polsilvera": typ żyletek „Iridium Super". Perspektywy oparcia produkcji żyletek o krajową technologię i surowiec — uniezależnienia jej od zachodnich dostawców — są zatem dość wyraźne. Tymczasem jednak trzeba będzie dalej korzystać z ich pomocy. Zapewniono ją do końca tego roku. I świadomość tego powinna podziałać kojąco na rozgorączkowane głowy klientów a szczególnie — spekulantów.

CASUS DRUGI: SZAMPONY

Inaczej jest z szamponami. Tutaj trudno zrzucić winę na nerwowość rynku. Ale też niełatwo obarczać ją producenta. Sytuacja pogarszała się stopniowo, a prawdziwe załamanie nastąpiło zaraz po 20 kwietnia. Tak mówią w „Centralu", gdzie do tego czasu sprzedawano ok. 25 tys. sztuk szamponów miesięcznie, ale już w końcu kwietnia można było dziennie sprzedać ich 3 tysiące sztuk!

— To było dla nas ogromne zdziwienie — mówi kierowniczka stoiska kosmetycznego SDH „Central".

Odtąd znikały już nie tylko tanie, popularne szampony z łódzkiej „Ewy" Zabrakło i tych droższych, emulsyjnych z Urody" które nie miały nigdy większego wzięcia. Ostatnio rozchwytano nawet węgierski szampon po 130 złotych butelka. *10 czerwca — w ciągu trzech godzin — sprzedano całą dostawę z „Ewy": 3 tys. sztuk. Ostatni transport z łódzkiej fabryki był 16 czerwca. Odtąd ludzie dopytują się o „wylewki" i „stłuczki" wzięliby nawet szampon przeterminowany* — mówią ekspedientki z „Centralu"...

1 lipca w łódzkiej Fabryce Kosmetyków „Pollena-Ewa" moje nadzieje, że jest to tylko stan przejściowy, za który winę ponosi chomikująca część klientów, rozwiewa już na wstępie rozmowy wicedyrektor *Bolesław Świętorzecki:*

— W czerwcu trzy tygodnie staliśmy z produkcją szamponów. Zabrakło importowanych detergentów. Nie dostarczyliśmy więc w terminie milion sześćset tysięcy sztuk szamponu.

Sygnały wyczerpywania surowców pojawiły się jeszcze w marcu. W maju wyprodukowano tylko 2 mln 100 tys. sztuk (dla porównania w lutym: 3 mln), a w czerwcu jedynie nieco ponad milion...

Nie jest to jedyna przyczyna niedostatku szamponów w łódzkich sklepach. W „Ewie" w I półroczu to nie produkcja szamponów na rynek była najważniejsza, ale — zgodnie ze „wskaźnikami dyrektywnymi" — eksport oraz produkcja mydła w płynie, które nie trafia do handlu. Poza tym w I półroczu ogólna produkcja rynkowa była w „Ewie" niższa (w cenach detalicznych) o 16 mln niż w roku ubiegłym.

Jest jednak faktem, że nigdy jeszcze nie dostarczono z „Ewy" do łódzkich sklepów i kiosków tylu szamponów, co w 1981 roku: dokładnie 1 mln 117 tys. sztuk, czyli przeszło dwa razy więcej, niż w roku ubiegłym. Ale — paradoksalnie — obfitość to tylko pozorna!

Do niedawna bowiem Łódź znajdowała się na liście czterech ośrodków objętych priorytetem w dostawach szamponów. Każda fabryka w kraju miała obowiązek dostarczyć tu tyle szamponów, ile zamówiono. Priorytet ten ostatnio zlikwidowano. Skutki ograniczenia dostaw z innych rejonów miała właśnie złagodzić produkcja z łódzkiej „Ewy" (dostarczajacej na rynek krajowy ok. 25 proc. ogólnej ilości szamponów). Niestety, produkcja ta nie jest w stanie pokryć potrzeb mieszkańców łódzkiej aglomeracji i nie zdoła wyrównać tego, co straciła ona wraz z odebraniem jej priorytetu. Dyrektor do spraw produkcji i obrotu towarowego „Polleny-Ewy" B. Świętorzecki szacuje, że w I półroczu sprzedano tu ok. 2 mln sztuk szamponów, a zabrakło 200—300 tysięcy. Zdaniem dyrektora duży udział w znikaniu szamponu ma wykupywanie go w łódzkich sklepach przez mieszkańców Piotrkowa, Łęczycy, a nawet Płocka — i innych, gorzej zaopatrzonych, miast i miasteczek.

Strat, jakie powstały w wyniku braku surowca i trzytygodniowej przerwy w produkcji, nie da się szybko odrobić. Co prawda od 26 czerwca „Pollena" znowu produkuje szampony, jej taśmy opuszcza dziennie 110 tysięcy sztuk „orzozowego". Nic nie leży w magazynach (które zresztą nie są w stanie pomieścić dwudniowej tylko produkcji) ale też fabryka ma zaległości i to poważne, wobec wielu klientów.

— Nie liczyliśmy, że będziemy stali w czerwcu — mówi wicedyrektor. — *Teraz nie ma mowy o równomierności dostaw. Są województwa, do których nie poszła jeszcze żadna dostawa. Trudno też powiedzieć, na jak długo wystarczy surowca...*

Pozostaje pytanie: czy nie ma możliwości zastąpienia go krajowym? W fabryce wyjaśniają mi, że w surowcu do produkcji szamponu 90 części na 100 to „wsad dewizowy", pochodzący z importu z krajów kapitalistycznych. Tylko 10 części wyrabianych jest z krajowego surowca. Zamiana detergentów zagranicznych na krajowe możliwa byłaby tylko przy produkcji szamponu... mydlanego. Ale musiałoby się to niekorzystnie odbić na wielkości produkcji mydła, którego też brak — i jest to skutkiem ogólnego niedostatku tłuszczów...

— Nie ma sposobu — mówi krótko dyr. Świętorzecki, ucinając jałowe pytania o „perspektywy" Nie mam więc nawet czym pocieszyć czytelników...

CASUS TRZECI: PŁYN DO NACZYŃ

Jeszcze mniej optymizmu potrafi wykrzesać z siebie dyrektor Kwiatkowski z „Organiki", który na widok dziennikara rzuca — retoryczną przecież — uwagę: — *Żeby ta publikacja pomogła chociaż w imporcie...* Obaj wiemy przecież doskonale, że nie jest w stanie pomóc. Legendarna „potęga prasy" ma swoje bardzo konkretne granice. Pokrywają się one z terytorialnymi...

Wizyty w Łódzkich Zakładach Chemicznych nie musiałem nawet poprzedzać sonda w handlu. Wystarczyła autopsja: od pół roku sam myję garnki i talerze wodą z dodatkiem płynu od mycia... szyb (ewentualnie — luster).

— *W czerwcu urwał się zapas surowca do produkcji „Kubusia" Odtąd czekamy* — informuje mnie wicedyrektor do spraw ekonomiczno-handlowych „Organiki" mgr *Kazimierz Kwiatkowski.* — *Wczoraj nadeszła wprawdzie pierwsza cysterna z belgijskim surowcem, musieliśmy z niej zrobić jednak półfabrykat dla Jaworzna — na środek ochrony roślin.* To jest obecnie ważniejsze. Dopiero z następnych dostarczonych nam cystern zaczniemy robić płyn do mycia naczyń. Kiedy to będzie? Prawdopodobnie od połowy lipca.

Ale to też nic pewnego. *Najgorsze jest to, że my nic nie wiemy* — żali się dyrektor. *Co gorzej, „na górze" nie wiedzą więcej. Brakuje elementarnej informacji: co, kiedy, ile, w jakiej kolejności? Centrala coraz częściej jest bezradna. I tak ze wszystkim. Fabryka ma tylko swoje miejsce w przydziale środków dewizowych. Dyr. Kwiatkowski nazywa to „zaopatrzeniem na papierze"...*

„Organika" produkuje m. in. poszukiwane odświeżacze do pomieszczeń w aerozolu, płyny do kosmetyki samochodowej, preparaty do konserwacji urządzeń mechanicznych, a z najbardziej poszukiwanych: płyn hamulcowy i „Kubuś" do mycia naczyń. Tegoroczna produkcja ostatniego z wymienionych to istna huśtawka: styczeń — 93 tys. sztuk, luty — 86 tys., marzec — 0 (sic!), kwiecień — 188 tys. (tak dużo, że zabrakło nagle poliestyrenowych butelek i trzeba było napełniać szklane), maj — 122 tys., czrwiec — tylko 41 tys. sztuk.

— *Jak surowiec przychodzi, to się robi* — komentują w fabryce, skąd zresztą od razu wysyła się płyn w Polskę — poprzez warszawski oddział „Chemikoloru".

Łódź na liście zamówień tej centrali zajmuje niezłe miejsce. W I półroczu 1981 roku zaopatrzono ją w 141 tys. 320 sztuk płynu „Kubuś" tj. jedną czwartą całej produkcji „Organiki" Dyr. Kwiatkowski dodaje do tego pewną ilość, którą fabryka wysyła do „Społem" i „Samopomocy Chłopskiej" „po cichu", poza zleceniami głównego dystrybutora. Wszystko to jednak — jak się okazuje — „kropla w morzu". Producent nie jest w stanie — nawet rozpocząwszy produkcję w lipcu — przekroczyć liczby 75 tys. butelek miesięcznie. Nie jest to dużo. Jak niemal cały przemysł chemiczny i łódzka „Organika" uzależniona jest niemal całkowicie od importu. Czy belgijskiego kwasu ABS, używanego do produkcji „Kubusia", nie dałoby się zastąpic polskim? Pomoc wytwarzają go zakłady w Raciborzu, ale tylko na własne potrzeby (większość i tak same importują). Chemia weszła w import i bez importu nie ujedzie — mówią mi w „Organice". I tu zbieramy owoce starych błędów...

TOMASZ SOLDENHOFF

Foto. R. Łucyszyn

Dalszy ciąg ze str. 1

CO MYŚLI

dostanie, to uczciwie da mleko. I dobre potomstwo. Złe żywienie ciężarnych jałówek powoduje, iż średnio 30 proc. cieląt pada po urodzeniu. A sensem istnienia PGR jest dostarczanie najlepszego materiału hodowlanego. Nie dziwmy się przeto że krowa tęskni za troskliwym gospodarzem i za chłopską oborą.

Ale krowa patrzy się z przykrością na chłopa. Mimo oficjalnych zakazów chłopi zawsze zabijali cielęta Żeby uniknąć, kar, w połowie lat sześćdziesiątych skórki z cieląt zakopywali w gnojówkach. Co roku 5 tys. ton skórek przemieniało się w nawóz naturalny. Kiedy w 1971 roku zniesiono zakaz uboju nastąpiła istna rzeź cieląt. Natomiast sprawozdania mówiły o wzroście pogłowia cieląt, których wciąż ubywało. Po roku 1977 władze różnego szczebla wydawały zakazy uboju cieląt, ale jednocześnie zezwalały na skup skórek cielęcych. Dzisiaj można przypuszczać, że rolnicy zabijają trzy razy więcej cieląt, niż GS „Samopomoc Chłopska" skupuje skórek. Ale o tym nie decyduje wyłącznie ogromny popyt na mięso i wysokie ceny cielęciny na targowiskach. Wielka ilość cieląt znalazła się w państwowych cieźniach. Od stycznia do maja 1980 roku w kraju skupiono 40 tys. cieląt lecz na rzeź przeznaczono jedynie 3 tys. W analogicznym okresie br skupiono 44 tys. cieląt, z czego na rzeź poszło aż 27 tysięcy. Na podstawie skupionych skórek można stwierdzić iż ubój u rolników wzrósł o 20 proc.

Jest to zjawisko analogiczne do interwencyjnego skupu małych prosiąt. Z tym, że obecnie cenę kilograma żywca cielęcego podniesiono do 72 zł. Ale jednocześnie podwyższono cenę mleka do 14 zł za litr. Czy nie było to działanie w odwrotnym kierunku? Jeżeli bowiem zamierzano skupić dużą ilość cieląt do dalszego chowu, to nie pomyślano, kto się tym zajmie. Chłop przywoził cielęta po wyższej cenie, bo na kilogram przyrostu cielaka potrzeba 10 l mleka po 14 zł. Inaczej mówiąc — koszt produkcji 1 kg żywca cielęcego wynosi 140 zł, a rolnik dostaje 72 zł. Gdyby rolnik otrzymywał cofnięty niegdyś dodatek hodowlany węgiel, paszę, mlekopan i mlekomiks, to by może przetrzymał cielaka do etapu tzw żarłoka, który potem już je to wszystko, co krowa.

W kraju tylko dwa z dziewięciu wielkich zakładów produkują mlekopan i mlekomiks. Nie otrzymują tych deficytowych pasz nawet PGR i RSP, które dotąd prowadziły wypajalnie cieląt. Obecnie wypajalnie z mlekiem od krów stały się nieopłacalne Kiedy PGR przejdą na własny rozrachunek, jedyną ostoją dla hodowli cieląt stanie się chłop. Byle tylko dostał obiecane przez ministra pasze mlekozastępcze.

Ostatnio próbowano „wrzucić" sprawę cieląt do programu redakcji rolnej TVP, żeby apel poszedł w Polskę, ale Warszawa obraziła się na pionierskie inicjatywy regionalnej „Solidarności" w Łodzi. Tylko łódzki ośrodek telewizyjny puścił na antenie ogólnopolskiej reportaż o zabijaniu cieląt.

Ośrodek Badań Działalności Gospodarczej MKZ „Solidarność" Ziemia Łódzka zwrócił się w tej sprawie z apelem do rolników. Apel spotkał się ze zrozumieniem i chwała za to rolnikom. Ubój cieląt zmalał o połowę, zwiększyła się liczba

odgłosy

Redaguje kolegium JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego) EUGENIUSZ IWANIKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI TADEUSZ BIAŻEJEWSKI KONRAD FREIDLICH MAŁGORZATA GOLIKA JACEK INDELAK RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter) BOGDA MADEJ ANDRZEJ MAKOWIECKI JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny)
Stale współpracują TADEUSZ CHROSCIELEWSKI GRZEGORZ GAZDA ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORŁOWSKI EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI GLANC JERZY WILMAŃSKI LUCJUSZ WŁODKOWSKI.
Korekta: MARIA GRABSKA KRYSTYNA SARDECKA.

RÓŻNE STOPNIE „OPTYMIZMU"

CASUS CZWARTY: BUTY

Określenie: plan produkcji nosi dziś w sobie pejoratywne zabarwienie. Zbyt wiele było w nim dotychczas elementów ekonomicznie podejrzanych, racjonalnie nie uzasadnionych. Do tej pory nie wymyślono jednak nic lepszego. Stąd i dziś śledzenie planu to śledzenie miejsca, w którym znajduje się przedsiębiorstwo. Z braku lepszych użyjmy zatem jeszcze raz tego niedoskonałego instrumentu. W styczniu br. Zjednoczenie zatwierdziło z pokryciem surowcowym plan „Skogaru" na 4 340 000 par butów oraz 180 000 sztuk odzieży. Liczby te pozostawały mniej więcej na poziomie roku ubiegłego.

Pierwsze załamanie przyszło w kwietniu, a mianowicie skorygowano plan w dół o 140 000 par butów. Był to pierwszy narastający sygnał o kłopotach ze skórą, podszewkami, klejem, tworzywami sztucznymi. Do końca maja skorygowany plan wykonano z niewielkim niedoborem (50 — 60 000 par obuwia) w stosunku do założeń pierwotnych. W czerwcu przyszło drugie załamanie, czyli korekta planu o dalsze 240 000 par butów mniej.

Co będzie dalej? Na to pytanie firma nie potrafi dać dziś żadnej przekonywającej odpowiedzi. Po prostu nie wiadomo co będzie dalej. *Zmora braków surowcowych nie jest zjawiskiem, które trawi przedsiębiorstwo dopiero w ostatnich kilku miesiącach.* Już w styczniu br. wśród nie wykonanych 80 000 par obuwia, 25 000 to straty strajkowe, ale aż 55 000 par butów nie wyprodukowano z powodu braków surowcowych. Tendencja spadkowa utrzymuje się więc od dawna, dziś jednak nabiera charakteru zjawiska łańcuchowego, a istniejące zabezpieczenie materiałowe to często fikcyjne, jedynie papierowe gwarancje.

Co oznaczają jednak w praktyce owe korekty planu? Jaka jest ich geneza? „Skogar" ma dwóch podstawowych kooperantów. Są nimi: Wytwórnia Sztucznej Skóry w Pionkach k/Radomia dostarczająca polcorfam oraz zakłady „Sanwil" w Przemyślu produkujące skaj obuwiowy i odzieżowy. Dostawy pierwszego kooperanta zaspokajające 50 proc. potrzeb „Skogaru" chronicznie już mają charakter nierytmiczny, a od kwietnia zaprzestano w ogóle dostaw. Podobnie jest z „Sanwilem" który sam nie ma z czego produkować. Obydwaj kooperanci nie potwierdzają wysyłanych przez „Skogar" zamówień. Podejrzewam, że również ich zamówień nikt nie potwierdza. Cała branża skórzana jak również chemiczna silnie uzależniona jest zarówno technologicznie jak i surowcowo od strefy dolarowej. Wszyscy więc powtarzają w kółko: „Będą dewizy, będzie produkcja, nie będzie dewiz..." A jednak się kręci. I to prawda. Jak gdyby na przekór katastroficznej wymowie faktów. Jak zatem jest to możliwe? Optymizm blednie jednak przy przyjrzeniu się sprawie bliżej — 80 procent produkowanego obecnie przez „Skogar" obuwia nie jest zgodna z wzorem. Na przykład, materiał na spody jest zwykły, zamiast lakierowanego, sprzączka zamiast złotej jest niklowa (zakaz sprowadzania z importu środków do złocenia) lub nie ma jej w ogóle.

Czy jest to aż tak ważne? No cóż, to zależy od punktu widzenia. Trzeba by zapytać kobiet, czy jest im wszystko jedno czy beż czy granat. Trzeba by również zastanowić się nad tym co to jest bubel, którego nikt nie chce kupić. Czy nie jest to w wielu przypadkach właśnie owa klamerka, która swą brzydotą lub kolorystyczną przypadkowością sprawia, że nie sięgamy po portfel.

A jednak się kręci. Kiedy powstał „Skogar" miał on produkować odzież w 100 proc. ze skóry naturalnej. Zakupiono do tego celu specjalistyczne, drogie maszyny. Niestety, po upływie pewnego czasu z braku surowca na owych maszynach rozpoczęto produkcję odzieży ze skaju. Dziś produkuje się tu zwykłą odzież z niewielkim dodatkiem skóry, a to już nie jest sprawa przypadkowej kolorystyki, ale niewykorzystania, a następnie niszczenia maszyn. Bo taki w ostatecznym rozrachunku jest charakter owego dostosowywania się do sytuacji, owego łatania byle tylko się kręciło.

Jeżeli nie ma klamerki określonego koloru to można jej nie dać i robić buty dalej, jeżeli nie ma skóry to można szyć zwykły materiał, psując maszynę. Jeżeli jednak zabraknie kleju to już koniec. W ten właśnie sposób stanął „Skogar" w czerwcu na 5 dni, ponieważ „Pionki" wstrzymały dostawy z powodu braku składników do produkcji, a import z braku dewiz okazał się również niemożliwy. Zakład więc stanął, a ponad 500 osób poszło na przymusowy płatny urlop. W końcu czerwca „Pionki" znów podjęły produkcję kleju, nadeszły także dostawy z importu. Zapas jest obecnie na 2 tygodnie. Co będzie dalej? Nie wiadomo. Gwarancje? Nie ma żadnych.

„Skogar" to jednak nie tylko produkcja, plany, ale także i ludzie, przede wszystkim ludzie. Co u nich słychać? Nie jest dobrze, jest... Ostatnio dyrekcja spotkała się z narastającym coraz silniej żądaniem zagwarantowania każdemu przydziałów papierosów, waty i środków piorących. Inaczej.. Nasilają się więc głosy o dalsze reglamentowanie towarów. A jednak się kręci... I to prawda. Na zakończenie wizyty w „Skogarze" dwie refleksje Rozumiem, że nie ma surowca i że trzeba zmniejszać produkcję butów i odzieży ze skóry Natomiast nie rozumiem dlaczego najpierw pada fabryka kleju, która kładzie całą branżę. Jeżeli widzę coś takiego to zaczynam źle myśleć o mózgu tego wszystkiego. Refleksja druga: oczywiście mogą być na kartki papierosy, szampony, wata, grzebienie... Istnicje jednak próg i to już blisko. W drugim przypadku winą również obarczam mózg.

CASUS PIĄTY: TKANINY

Z watą, papierosami, proszkiem do prania tak samo jak w „Skogarze". Lepiej natomiast z rąbanką. „Solidarność" w zakładzie i „Solidarność Wiejska" w Rokicinach dogadały się szybko i skutecznie. Dwie tony mięsa poszły poza kartkami do fabryki. Sojusz robotniczo-chłopski staje się ciałem. Branżowcy natomiast jakoś nie zaskoczyli z kółkami rolniczymi. Ale za to załatwili proszki do prania. Tak jakoś, kręci się powolutku. Chłopu się opłaca, bo nie musi do skupu jeździć i czasu w żniwa marnować, a i robotnikom się opłaca, bo — nawet nie trzeba tłumaczyć. Natomiast z produkcją jest znacznie lepiej niż w „Skogarze". Zadania przyjęte przez załogę na ten rok zakładają wyprodukowanie 3 600 000 metrów tkanin gotowych. W stosunku do roku ubiegłego jest to o 160 000 metrów mniej. Te 160 000 to piętnaście dni roboczych czyli akurat tyle ile doszło wolnych sobót. Wszystko się zatem zgadza. W minionym pierwszym półroczu przekroczono wykonanie zadań o 5 proc., co w obecnych warunkach nieustających korekt i braku surowców jest dużym osiągnięciem. Dodam więcej, nie tylko „Norbelana" ale i większość zakładów branży wełnianej wykona założone plany. Więc jednak się kręci. Ale i tu zaczynają się rysować pierwsze pęknięcia. W „Norbelanie" nie zrealizuje swoich zadań przędzalnia. Musi to spowodować w II półroczu załamanie w tkalni i wykończalni. *Głównym problemem jest brak ludzi.* Praca w przędzalni ma bowiem charakter 3-zmianowy i nikt pomimo stosunkowo dobrych zarobków tu się nie kwapi. Grozi więc zmniejszenie produkcji na skutek braku przędzy. Tak się nie stanie jeżeli dyrekcji uda się rozwiązać problem poprzez przesunięcia (40 — 50 osób) w ramach własnej załogi. Trwają już na ten temat przygotowawcze rozmowy. Sprawa jednak posuwa się opornie. Jak do tej pory dopiero 3 osoby zdecydowały się na zmianę działu. Problem istnieje rzeczywiście, ale wobec tych wszystkich „wielkich strachów", wydaje się być drugorzędny.

W „Norbelanie", tak jak i w „Skogarze" trwa męczące wyczekiwanie. Już na zebraniach nikt nie krzyczy tak głośno jak jeszcze do niedawna, słabną również emocje i namiętności. Ludzie są zmęczeni, zmęczeni kłopotami codzienności. Ale wciąż czujni. Wyczekują na ustawę o samorządzie, na ustawę o przedsiębiorstwie, na reformę gospodarczą, na to, że się w końcu sytuacja poprawi.

Za powołaniem samorządu robotniczego głosowało ponad 60 proc. załogi. Trwają w tej chwili konsultacje i wymiana poglądów. Nie spieszą się jednak. Bez ustaw, których ciągle nie ma i tak wszystko będzie miało charakter tymczasowy. Załoga pamięta KSR, a niektórzy nawet Rady Robotnicze z 1956 roku — nie chcą więc dać się wpuścić w kolejną fikcję. Pieczę organizacyjną nad powoływanym samorządem sprawuje Komitet Zakładowy PZPR i obydwa związki. Dyrekcja spełnia tu jedynie funkcję sekretariatu. Jak wszystko pójdzie dobrze — czyli w lewo, to we wrześniu przystąpią do wyborów.

„Norbelana" ma wypracowaną przez lata dobrą markę, nic dziwnego, że nawet dziś 50 proc. produkcji idzie na eksport. Produkcja ta wymaga jednak szczególnej staranności. Tymczasem istniejące w zakładzie normatywy wynoszą zaledwie 30 proc. z wymaganych 100. Kłopoty w tej mierze były zawsze. Dziś jednak pogłębiły się w dwójnasób. Przedsiębiorstwo więc nie pokrywa w 30 procentach zamówień asortymentowych składanych przez odbiorców, a więc klient zamiast otrzymać brązową tkaninę w kratę, otrzymuje zieloną w paski. Podobnie jak w „Skogarze" z klamerkami. Tylko, że przy intensywnym eksporcie na Zachód ma to inną wagę.

Na dobrą markę firmy pracuje się latami. Stracić ją można natomiast kilkoma pociągnięciami jak wyżej.

Dyrektor Jan Gołębiowski siedzi na swoim stolku już dobre kilkanaście lat. Mówi, że to niedobrze, bo już się opatrzył. W 1973 roku za jego kadencji przyszła z góry propozycja aby odtworzyć „Norbelanę" na Brusie. Inwestycja miała kosztować 2,5 miliarda złotych. Pomyślał wtedy, że tego kraju nie stać na wieczne ładowanie pieniędzy w mury. Zgłosił wówczas kontrpropozycję, żeby w starych murach zrobić modernizację za jedną piątą wymienionej wcześniej sumy. Ponieważ nie mógł tego głosić sam, więc wkładał w usta robotników. I udało się. Nie powstało jeszcze jedno widmo w rodzaju „Teofilowa", „Bistony", „Very" czy „Dywilanu". Już w 1973 roku czuł, że polityka kredytowa długo nie pociągnie. Pewności nabrał na spotkaniu w „Elcie" z tow. Szydlakiem, który na pytanie „w jaki sposób poradzimy sobie z długami?" powiedział: „niech une się martwią co dawały".

Dziś dyrektor już nie musi niczego robotnikom wkładać w usta. Mówią sami. Na drzwiach biura dyrekcji wisi napis: *„Żadna maszyna w Polsce nie stanie, gdy się nas kłamać przestanie".*

Więc jednak się kręci.

MAREK MILLER

KROWA?

cieląt do dalszego chowu.

Bogusław Porwisiak z OBDG:

— *Było wiele telefonów z zapytaniami, gdzie nabyć cielęta. Trafiali się chętni do nabycia kilku sztuk.*

— *Żeby je przeznaczyć na ubój?*

— *Jasne! Dlatego każdy nabywca musiał przy zakupie podpisać umowę kontraktacyjną. Na nasz apel Kombinat Rolny w Niechcicach zaoferował dodatkową produkcję 300 ton mlekomiksu, prosząc jednocześnie o dostawę komponentów — tłuszczu spożywczego lub łoju spożywczego. Podjąłem odpowiednie działania i Okręgowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Mięsnego dostarczy ten tłuszcz.*

— *Czy warto poświęcać tłuszcze na mlekomiks?*

— *Z 300 ton mlekomiksu można odpoić około 10 tys. cieląt. Dzięki temu będziemy mieć 300 kg mięsa z każdego odchodowanego wołca, lub 4 tys. litrów mleka od wyhodowanej krowy. Ponadto są skóry i odpady dla „Bacutilu". Z odpadów karma dla eksportowych zwierząt futerkowych, a więc dewizy.*

Sprawa cieląt wiąże się ściśle z problemem mleka. Wraz z wyjściem krów na pastwiska ilość dostawców mleka wzrasta o około 1,5 mln. Krowy się denerwują, bo wytracono dużo cieląt, stwarzając przez to dodatkowe nadwyżki mleka, którego jednak nie ma w sklepach. Krowy łypią podejrzliwie na gospodarzy i różnie sobie myślą, bo razem z podwyżką cen mleka raptownie zmalał procent tłuszczu. Zbierają śmietanę czy chrzczą mleko wodą? Nie! Nawet lepiej karmią! Ale na obniżeniu tłuszczu ktoś jednak korzysta. Duża różnica w cenie, a ponadto większy zbiór masła i śmietany. Gdyby krowy nie mówiły tylko w noc wigilijną, to by dzisiaj zażądały badania świeżo udojonego mleka na miejscu, w zagrodzie.

Chociaż, prawdę mówiąc, mleko zaczyna się marnować już w zagrodzie. Nie ma go jak schłodzić, nie ma czym wymyć baniek. Czasem się dosypie proszku „Ixi". Ale tego też zabrakło. Gospodarz nie ma węgla, więc dojarkę i plastikowe wężyki płucze zimną wodą. A czasem to w ogóle nie ma mleka w zagrodzie. Jak wyłączą prąd. A jak to się powtórzy kilka razy pod rząd, krowy mają zepsute wymiona i idą na rzeź.

Mleko jedzie do mleczarni. Kierowca zauważa kiosk, gdzie sprzedają papierosy. Zostawia cysternę na słońcu, przez godzinę stoi w kolejce i do mleczarni trafia mleko, którego 1 cm sześć. zawiera 70 mln bakterii. Taką ilość bakterii pasteryzacja może jedynie zniwelować. A im większa ilość bakterii gnilnych, tym gorsza jakość mleka. I tym gorsza jakość i trwałość produktów mleczarskich. I co tu marzyć o pełnotłustym mleku w proszku, o jogurcie, kefirze, serach czy zwykłej maślance?

Zwykłego mleka nie można kupić. Krowa nie potrafi mówić, ale dobrze wie, ile daje mleka. Natomiast Wojewódzka Spółdzielnia Mleczarska twierdzi, że skup spadł o 20 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym, dodając jednocześnie, że ma trudności nalewcze. Należy więc spytać w imieniu krowy: Jak to się dzieje, że w zeszłym roku można było nalać o 20 proc. mleka więcej, a dzisiaj nie można nalać mniej? A jeżeli rzeczywiście są trudności, to czy do nalewania nie można wykorzystać linii „Pepsi Coli"? Bo gdyby nawet licencjodawca się nie zgodził, to mu trzeba wyjaśnić, że mleko nie jest konkurencyjnym napojem firmowym. (Chociaż, kto wie? Mleko jest o wiele tańsze).

Szkopuł w tym, że podobno nie ma butelek. Ale w zeszłym roku mleka było o 20 proc. więcej i butelek starczyło. W tym roku natomiast pod sklepami stoją tygodniami puste butelki, których zza biurka nie widać. I dlatego do Łodzi ma przybyć z Jugosławii 200 tys. butelek na mleko i 50 tys. butelek na śmietanę. Po co? Przecież i tak będzie się przerabiać skwaśniałe mleko na kazeinę. 40 litrów mleka (wartość 560 zł) daje 1 kg kazeiny o wartości... No, lepiej nie pisać... A robi się z tego grzebienie, guziki...

Ludzie mówią: Dajcie nam z Sieradza 150 tys. litrów mleka dziennie, nawet skwaśniałego. Kupimy, zrobimy sobie twarożek. Ba, ale te butelki, te trudności nalewcze. Ma przybyć 20 cystern obwoźnych, które Sanepid traktuje jako zło konieczne. Sanepid nie lubi też konwi. Trudno to zrozumieć, bo ja sam przed kilkoma laty kupowałem w Pabianicach mleko z konwi. Potem w Woj. Spółdzielni Mleczarskiej kilkaset konwi zginęło. A dzisiaj 2500 konwi załatwiłoby sprawę zaopatrzenia ludności Łodzi w mleko. Konwie mogłyby stać na okrągło w sklepach. Bo jak ekspedientki nie mają co sprzedawać, to znajdą czas na mycie. Kilkoma cysternami można by obskoczyć sklepy i ponapełniać konwie. Śmietaną także, nawet zsiadłym mlekiem.

Władze pomyślały o konwiach i już sprowadzają z zagranicy. Taniej byłoby kupić cynę i komponenty do pobielania, tym bardziej, że fabryka konwi w Olkuszu stała dotąd bezczynnie. A Ośrodek Badań Działalności Gospodarczej „Solidarności" zwrócił się z apelem w sprawie konwi do... społeczeństwa. Zgłosiły się zakłady pracy i osoby prywatne. Po tygodniu było już 200 konwi, razem z czerpakami.

— *Ta cała mleczna afera* — mówi Bogusław Porwisiak — *jest także przykładem lekceważenia i nieposzanowania pracy rolnika. Sprawa mleka irytuje. W dobie pustych półek sklepowych mleko jest jedynym artykułem żywnościowym w nadmiarze. Kto nie pomaga w rozwiązaniu problemu mleka, ten szkodzi społeczeństwu.*

Krowy wstydzą się za ludzi, czują się oszukane. I są wściekłe. Bo nadużywany przez ludzi płyn wprawiający w stan upojnej radości nazwano mlekiem od wściekłej krowy. Kiedy tego płynu zabrakło, pojawiło się w nadmiarze prawdziwe mleko, które się marnotrawi.

Decydenci nam się nie spisali, oddajmy więc chociaż należny szacunek pracowitym krowom.

RYSZARD BINKOWSKI

ZJAZD WIELKICH NADZIEI

Z czym pojedziecie na IX Zjazd PZPR? Jakie sprawy będziecie chcieli przedstawić na tym najwyższym forum partyjnym? Z tymi pytaniami zwróciłem się do trzech delegatów reprezentujących trzy różne zawody i trzy różne środowiska. Odpowiadają:

IGNACY JAKUBOWIAK — brygadzista w spółdzielni „Lipcowy Zryw" w Zduńskiej Woli (woj. sieradzkie), STANISŁAW NAWROCKI — rolnik z gminy Brzeziny (woj. skierniewickie) i EDWARD WÓJCIK — dyrektor „Energoinż" z Bełchatowsko-Pomorskiego Kombinatu Budowy Elektrowni w Bełchatowie (woj. piotrkowskie).

IGNACY JAKUBOWIAK. Mnie się wydaje, że na tych 1.900 delegatów na zjazd, to takich jak ja nie dopuszczą do głosu, tam będą przemawiać mądrzejsi ode mnie. Ale będzie przecież praca w zespołach i myślę, że tam będę przydatny. Już sobie nawet obmyśliłem taką rzecz: zbiorę na zebraniu partyjnym wszystkich towarzyszy z naszego zakładu i niech oni mnie natchną, niech, że tak powiem, zaprogramują. To jest konieczne, przecież jestem jednym z nich, będę reprezentować nasz zakład na najwyższym forum partyjnym. A na to forum — nie są to frazesy — czekają u nas nie tylko członkowie partii, ale i ludzie bezpartyjni.

Tak więc chciałbym aby na zjeździe były poruszone sprawy spółdzielcze. Bo ze spółdzielczością, mówię o spółdzielczości w ogóle, jest nie tylko źle, ale wręcz fatalnie. Od lat nasze władze nic innego nie robią, jak tylko nas reorganizują. Co roku zmieniamy swoją resortową przynależność. Był już Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy, potem Krajowy Związek Spółdzielczości, teraz zapowiedzieli nam, że będziemy mieli nowego szefa resortowego. A my przez tę kołomyjkę nie możemy się ustabilizować, nie możemy na dobre stanąć na nogi. Zanim przyzwyczaimy się do wymagań jednego resortu — trach! — oddają nas komu innemu. Liczymy, że kiedy zacznie obowiązywać nowa reforma gospodarcza, może wreszcie pozwolą nam samym planować i samym dysponować swoim funduszem płac. Dotychczasowa „opieka" centralna ze strony naszego związku właściwie tylko nam przeszkadzała. Przykład? Proszę bardzo. Parę lat temu zjechała do Zduńskiej Woli Sejmowa Komisja Przemysłu Lekkiego, z którą także rozmawiałem, a która dopingowała „Lipcowy Zryw" do podjęcia, obok konfekcji dla dorosłych, produkcji konfekcji dziecięcej. Zapaliliśmy się do tego, bo nie jest tajemnicą, że tych rzeczy nie ma na rynku, że łatwiej o dziecko, niż o przyodziewek dla niego. I co? Ano nic. Bo u nas, w kraju, każdy zakład musi dbać przede wszystkim o to, aby wykonać zadania finansowe. Na przykład w tym roku mamy zarobić 135 mln zł. Z czego? Szyjąc rzeczy drogie, takie które się opłacają. Natomiast jakie mogą być zarobki na dziecięcych kaftanikach? Co innego gdybyśmy sami planowali, wówczas tak ułożylibyśmy produkcję, ażeby obok sukienek, podomek czy płaszczy kąpielowych szyć koszulki, czy spioszki dla maluchów.

Generalnie rzecz biorąc spółdzielczość kuleje, jeśli chodzi o pracę. U nas w „Lipcowym Zrywie" akurat nie jest najgorzej, ale w innych spółdzielniach na terenie Zduńskiej Woli jest niewesoło. Kłopoty z towarem ma Spółdzielnia Inwalidów „Zwycięstwo", Spółdzielnia Pracy Inwalidów im. F. Dzierżyńskiego... Brakuje surowców: jednym włóczki, drugim skóry. Jak się orientuję, to żadna z nich nie wykona planu. Czy winić za to załogę? Nie, ludzie chcą pracować, chcą zarobić. A zapowiada się jeszcze gorzej. I właśnie o tych sprawach także będę chciał mówić w czasie pracy w zespołach. Bo taka sytuacja staje się sprawą nie tylko naszą, zduńsko-wolską, ale sprawą całego kraju.

A teraz co do samego IX Zjazdu. Czekamy na niego wszyscy. Sądzę, że jeśli obrady będą przebiegać spokojnie, to uchwały jakie tam się podejmie, staną się wreszcie czynnikiem, który położy kres panującemu w kraju rozgardiaszowi. Teraz to tylko wszyscy mielą językami, zamiast zabrać się do rzetelnej roboty. Myślę, że zjazd skieruje we właściwe koryto te wzburzone wody.

Z mojej obserwacji wynika, że już w tej chwili sytuacja dla partii jest korzystna. Uaktywniło się sporo ludzi, którzy dotąd milczeli. Zabierają głos i mówią rzeczy gospodarsko dobre, ideologicznie słuszne, patriotycznie dojrzałe. Myśmy o tych ludziach dotąd nie wiedzieli, a oni byli tuż obok. W „Lipcowym Zrywie" mamy dobre układy z „Solidarnością", bo oni chcą pracować, chcą pomagać. Gorzej układała nam się praca ze związkami branżowymi choć już dochodzimy jakoś z nimi do porozumienia. Oczywiście gdzieś tam przylepili się do „Solidarności" ludzie pragnący chaosu, zamieszania, a może wręcz konfliktu militarnego. Ale u nas takich nie ma. Są tacy, którzy należą do „Solidarności" i do partii, są aktywistami, dobrymi pracownikami. W ogóle panująca obecnie demokracja jest rzeczą niezwykle ważną i dobrą. Zdarza się, że pobłądzę, rzecz ludzka, wówczas towarzysze natychmiast zwracają mi na to uwagę. I to jest coś zupełnie nowego i cennego. Jestem tu sekretarzem POP od 19 lat i skoro wybrano mnie na kolejną kadencję — to wystarcza za wszystkie opinie. Nie musieli, a wybrali.

Zduńska Wola nie była dotąd miastem tak bojowym. Dopiero jawność życia społecznego, administracyjnego i partyjnego sprawiła, że usłyszano o nas w kraju. A z czego wynikał ten brak bojowości? Ano z tego, że jeśli chciałem zabrać głos, to ten mój głos był uprzednio kontrolowany, korygowany, przystosowywany do potrzeb i gustów władzy. A ilu nie dopuszczono wcale do głosu? I właśnie ci, którym zamykano usta, często oddawali legitymacje. Osobiście wielu z nich żałuje, że odeszli. I o tych sprawach także chciałbym powiedzieć parę zdań na IX Zjeździe.

STANISŁAW NAWROCKI. Wszystkie uchwały KC partii, ZSL, SD — a studiuję to uważnie — winny zacząć wreszcie wchodzić w życie. Bo my, na wsi, odbieramy to jako deklaracje, pustą gadaninę, z której nic nie wynika. Nie ma działania. Wszyscy otaczają się słowami, jak zasłoną dymną, gadają w kółko, natomiast nikt nic nie robi.

Tydzień temu zadałem pytanie dyrektorowi zaopatrzenia rolnictwa w WZSR w Skierniewicach na temat przygotowań do żniw. Co oni dla nas przygotowali. A on mi odpowiada, że nic, że w magazynie ma pustki, że może nam dać jedynie babki do klepania kos, młotki i osełki do ostrzenia kos. A sznurek do wiązania snopków mają dać naczelnikom gmin i oni będą go dzielić między rolników. Nie wiem jak to będzie, bo na mój rozum, to naczelnik ma co innego do roboty. A w ogóle to tego sznurka jest bardzo mało i wszystkim go nie wystarczy. Dawniej sznurek brała SKR i wszystko było proste. A dzisiaj chłopi będą przyjeżdżać do Brzezin i ustawiać się do naczelnika po ten sznurek. No i powstał problem nie do rozwiązania. Więc będę o to pytać na zjeździe, tam będą chyba mądrzejsi i mi odpowiedzą.

Drobna wytwórczość nam nie pomaga, choć moim zdaniem, powinna. Rzemieślnicy tłumaczą się brakiem surowca i mają sporo racji. Ale i chłopi nie powinni się oglądać na Warszawę, a pomocy szukać właśnie u rzemieślników, sami wychodzić z inicjatywą, szukać możliwości. Zilustruję to konkretnym przykładem. Od trzech lat czekam na przydział obsypnika do ziemniaków, jestem nawet na specjalnej liście. Ale nikt nie wie kiedy obsypniki nadejdą. No więc poszedłem do takiego jednego rzemieślnika i on mi zrobił taki obsypnik za jedyne tysiąc złotych. A państwowy kosztuje 7—8 tysięcy. Podobnie jest z przetrząsaczem do siana. Rzemieślnik w Lipinach jest gotów rozpocząć natychmiast ich wytwarzanie i to po cenie dużo niższej od państwowej. Tylko, że nie ma na to surowców, bodaj odpadów z wielkich fabryk, czy hut. Skoro udało nam się nakłonić rzemieślników by produkowali materiały budowlane na potrzeby rolnictwa, to sądzę, że nie ma sensu oglądać się na „Fergusona", czy „Ursusa", ale wprowadzić, i to w całym kraju, mobilizację rzemiosła w służbie rolnictwa. Władze resortowe winny uczulić na ten problem rzemiosło, które jak wiem, od tego nie stroni. Przecież nie chodzi o wielkie rzeczy, ale o te drobne: szpadle, brony, przetrząsacze, radła... Dzisiaj by otrzymać jakikolwiek sprzęt rolniczy trzeba się na niego zapisać. Kolejka wygląda tak: 3 lata czeka się na bronę lub kultywator, a 10 lat na rozrzutnik, snopowiązałkę, koparkę do ziemniaków. I w taki sposób chcemy dźwignąć rolnictwo, spowodować, że ziemia więcej urodzi? Tegoroczne żniwa będą odbywać się przy pomocy kosy lub sierpów. Owszem, mamy kombajny. Możemy nimi sprzątnąć całe zboże. Ale ja mam pytanie: a gdzie jest suszarnia? Po kombajnie zboże trzeba suszyć, inaczej wszystko zgnije. Na rolnictwo, na jego usprzętowienie, trzeba patrzyć szeroko. Kiedyś tam przegięto pałę, jeśli idzie o kombajny. Wyprodukowano ich tyle, że dziś są w każdej wsi. Ale gdy rok jest mokry, jak to było w 1979 roku, kombajny się nie przydają. Żaden kombajn nie wjechał wówczas na pole. Trzeba było sięgnąć po odstawione pod szopę kosiarki. A teraz, tych kosiarek nie ma. A jeśli i to lato będzie deszczowe?

EDWARD WÓJCIK: ...uważam, że ten zjazd winien być zjazdem bardziej roboczym, niż wszystkie poprzednie

IGNACY JAKUBOWIAK: — Bo u nas, w kraju, każdy zakład musi dbać przede wszystkim o to, aby wykonać zadania finansowe.

STANISŁAW NAWROCKI: — Nie ma działania. Wszyscy otaczają się słowami, jak zasłoną dymną, gadają w kółko, natomiast nikt nic nie robi.

Gmina Brzeziny leży na obrzeżu województwa skierniewickiego i graniczy z województwem miejskim łódzkim i piotrkowskim. Obserwujemy, że występuje duża dysproporcja w przydziałach węgla, nawozów i sprzętu rolniczego pomiędzy nami a Łodzią. Nie wiem czym to jest podyktowane, może powiązaniami jeszcze ze starych układów? Że ci z Łodzi znają tych z Warszawy, a my ich nie znamy? I dla tego będę chciał zgłosić na zjeździe wniosek, aby wszystkie przydziały odbywały się jawnie, komisyjnie, nie za biurkiem. Bo rolnictwo jest jedno, jak jedna jest Polska.

Został zupełnie zaprzepaszczony temat szkolnictwa i opieki nad dzieckiem. Oświata została zmodernizowana, porobiono szkoły zbiorcze, dzieci są dowożone do szkół. A czy ktoś przyjrzał się temu z bliska? To nie wieś należało naginać do potrzeb oświaty, a oświatę do potrzeb wsi. I to także musi wyjść na zjeździe. Dzieci muszą mieć blisko do szkoły, musi ona być w miejscu ich zamieszkania. Dawniej, gdy szkoła była na wsi, to wokół niej skupiało się całe życie kulturalne. Czy to zespoły, czy teatrzyki dziecięce, czy chóry. Był komitet rodzicielski, podejmowaliśmy różne czyny społeczne, w wyniku których zrobiliśmy kupę rzeczy u nas w Gałkówku. Była biblioteka. A dyrektor takiej szkoły, to był wielki autorytet, ludzie przychodzili do niego nie tylko w sprawach nauki, ale i po radę, po pomoc w sprawach urzędowych. Dziś tego nie ma, umarło. Umarła także wiejska kultura, ta uprawiana czynnie, zniszczono wszystkie cenne wiejskie inicjatywy kulturalne, a w to miejsce przyszedł formalizm i instytucjonalizm. Dziś jest kultura w sprawozdaniach, nie ma jej w rzeczywistości.

Zresztą podobnie jest z wodociągami na wsi, z drogami. Po zlikwidowaniu Powiatowych Zarządów Dróg Lokalnych nie ma kto o tym myśleć. Jak przychodzą roztopy, to ustaje wszelka łączność. Są wsie, do których nie dociera wtedy ani pogotowie, ani straż, ani zaopatrzenie.

A teraz dwa zdania o partii na wsi. W Gałkówku-Kolonii jest nas 10. Nikt od sierpnia ub. r. nie złożył legitymacji. Bo myśmy przyszli do partii z potrzeb ideowych, nie dla kariery, nie dla awansu. Żyjemy tym wszystkim czym żyje kraj. Ale wiemy jedno: bez roboty nie będzie chleba. Samym gadaniem nie uzdrowimy kraju. Dziwi nas, że w miastach nasi towarzysze jakby poginęli, zostali zagłuszeni przez „Solidarność" i inne związki i ugrupowania. W partii, moim zdaniem, winna panować jedność. I jeżeli mamy zdania podzielone, to niech to służy naszej konsolidacji, a nie prowadzi do rozłamu. Mamy trochę żalu, że klasa robotnicza zapomniała o wsi polskiej, a przecież jesteśmy jej partnerami, stanowimy także siłę zdolną przeciwstawić się rozbijackim hasłom i zakusom. I o tym także będę chciał powiedzieć w czasie obrad IX Zjazdu naszej partii.

EDWARD WÓJCIK: Mimo tego, iż jestem członkiem partii od 37 lat, to na jej zjeździe, jako delegat, będę po raz pierwszy. Tak się złożyło w moim życiu, że byłem w obsłudze i Zjazdu PPR w 1945 r. i Zjazdu Zjednoczeniowego w 1948 r. Teraz jadąc na ten zjazd mam dużo spostrzeżeń już niejako historycznych; jestem obciążony nie tylko odpowiedzialnością własnych wyborców, którzy obdarzyli mnie mandatem, ale czuję także na sobie wielką odpowiedzialność, jako członek o długoletnim stażu partyjnym.

Jeżeli mam odpowiedzieć na pytanie, z czym jadę na zjazd, to przede wszystkim z dużym bagażem doświadczeń osobistych nawarstwionych przez dziesięciolecia i z nie mniejszym doświadczeniem nabytym w okresie ostatnich dziesięciu miesięcy.

Czym charakteryzuje się ten ostatni okres? Po szoku lipcowo-sierpniowym obserwowało się rzecz niepokojącą: jak gdyby członkowie partii, a nieraz całe organizacje partyjne zeszły do podziemia, do konspiracji. Wiele organizacji, a w tym także i instancje partyjne, zaskoczone przez wypadki, po prostu nie umiało się w tych dniach znaleźć, tym bardziej, że wszyscy członkowie partii wraz ze swoimi organizacjami znaleźli się pod pręgierzem opinii publicznej, obwiniającej nas za to, co się stało. To prawda, partia ponosi za to odpowiedzialność. Jest to pierwszy element z doświadczeń ostatnich miesięcy. A szok, jaki przeżywaliśmy, wypływał nie tylko z zaskoczenia. Po tym, co się działo, można się było spodziewać kolejnego w kraju, „zakrętu".

Po szoku, poszczególni członkowie partii, a także całe POP opamiętały się i podjęły próbę działalności. Moje środowisko, w którym od kilku lat pracuję, również należało do tych, które jako jedno z pierwszych podjęło działalność, jeśli tak można powiedzieć normalną. Wiele POP wśród budowlanych Bełchatowa włączyło się w proces odnowy. Myślę, że należymy do jednych z pierwszych większych organizacji partyjnych, które uaktywniły się poprzez wyjście naprzeciw temu, co przyszło niejako z zewnątrz wraz z tym wielkim ruchem społecznym inspirowanym przez działaczy związkowych. My, partyjni, szybko nawiązaliśmy z tym ruchem kontakt.

Takie są realia tu, w Bełchatowie. I to właśnie przyczyniło się, moim zdaniem, do tego, że byliśmy chyba jednym z niewielu większych ośrodków przemysłowych w kraju, gdzie nie było strajków. Na tyle, na ile pozwalały nam warunki: — zaopatrzenie w materiały — pracowaliśmy bez większej przerwy. Dopatruję się tu, między innymi, także działalności wielu POP, które wyszły tym przemianom naprzeciw. Niestety, muszę to stwierdzić, ze smutkiem, zabrakło w tym okresie pomocy ze strony miejskiej i wojewódzkiej instancji partyjnych. Byliśmy w podstawowych organizacjach partyjnych pozostawieni sami sobie.

Inna istotna sprawa: w okresach najbardziej krytycznych nasze organizacje partyjne podjęły, chyba jedynie słuszną w tamtym okresie uchwałę, że w przypadku dojścia do strajku generalnego, który mógłby się stać dramatem ogólnonarodowym, organizacje partyjne i członkowie partii znajdą się po jednej stronie ze swoimi kolegami z pracy. Nie można było dopuścić do tragedii, jaka mogłaby się wydarzyć tu u nas, na naszym wielkim placu budowy, gdzie znajduje się wielomiliardowy majątek narodowy. Ta jedynie rozsądna decyzja organizacji partyjnych spotkała się z pozytywnym rezonansem społecznym i przyczyniła się do odzyskania utraconego prestiżu i autorytetu partii w środowisku. W tych trudnych dniach nie doszło ani razu do poróżnień między partią a związkami zawodowymi, tak branżowymi jak i „Solidarnością".

Po ochłonięciu z posierpniowej gorączki organizacje partyjne przystąpiły do porządkowania swoich spraw wewnętrznych. Przeprowadzono kampanię sprawozdawczo-wyborczą i tam, gdzie tego sobie życzono, dokonano wyboru nowych władz, a wyprzedzając zalecenia KC PZPR, wybrano delegata na obecny zjazd, właśnie mnie.

A teraz dochodzę do zasadniczej odpowiedzi na pytanie, z czym jadę na zjazd. Ponieważ zostałem dość wcześnie wybrany delegatem, miałem sporo czasu na zebranie doświadczeń poprzez kontakty z mniejszymi i większymi środowiskami partyjnymi. Z tych spotkań nasuwają mi się takie wnioski, uważam, że ten zjazd winien być zjazdem bardziej roboczym niż wszystkie poprzednie, za to mniej uroczystym. Winien być zjazdem, który zabezpieczy partię przed wydarzeniami, jakie miały już kilkakrotnie miejsce w jej historii. Pojadę na zjazd z wnioskami zabezpieczeń statutowych, bo uważam, że tak jak zjazd partii jest najwyższą jej władzą, tak najważniejszą instancją organizacyjną w partii jest jej POP. Partia, jeśli ma być przewodnią siłą w społeczeństwie, to funkcję tę może poprawnie spełniać jedynie poprzez swoich członków skupionych w POP i realizujących program partii w miejscach swojego zatrudnienia. Natomiast próba oderwania się któregokolwiek członka partii, bez względu na sprawowaną w niej funkcję, prowadzi do wypaczeń. Nie można także łączyć funkcji partyjnych z działalnością administracyjną, państwową czy gospodarczą na tym samym szczeblu. Wyjątkiem może być jedynie stanowisko premiera, gdyż jest to bardziej funkcja polityczna niż administracyjna. Jednocześnie partia nie może zrezygnować z decydującego wpływu na obsadzanie kluczowych stanowisk państwowych, administracyjnych i w gospodarce.

Aby partia mogła spełniać rolę wiodącą, musi mieć taki program, który będzie programem narodu.

Od zjazdu oczekuję kontynuacji odnowy metodami politycznymi. Po raz pierwszy w historii, nasza partia nie użyła rozwiązań siłowych. Niepokoi jedynie to, że proces odnowy trwa za długo. Za dużo energii tracimy na sprawy proceduralne, co jest wynikiem wzajemnej nieufności, wyrosłej przez lata. I dlatego jakże często z funkcji partyjnych musieli odejść ludzie zaangażowani, uczciwi z dużym doświadczeniem organizacyjnym. Bywa to nieraz osobistym dramatem oddanych partii towarzyszy. Ale najistotniejsze jest to, by zjazd opracował, jeśli już nie cały program, to przynajmniej czytelne jego założenia, drogę wyjścia z głębokiego kryzysu gospodarczego, w jakim znalazł się kraj. Nie piękne hasła, lecz konkretne rozwiązania. I trzeba wyjść od rzeczy małych, pozornie drobnych, które ułatwią życie ludziom. A do realizacji wielkich programów możemy zabrać się nieco później.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI
Foto: W. Chorosiński i J. Pietrzak

SZCZEPAN JÓŹWIAK. — Moje środowisko wywiera na mnie presję, abym pilnował spraw służby zdrowia.

IRENA STASIŃSKA: — Moim zdaniem powinny być powołane komisje problemowe i część dyskusji powinna się odbyć w tych komisjach.

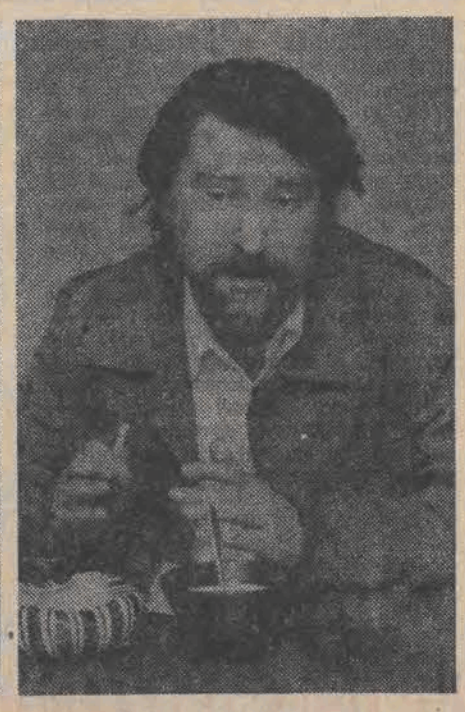

LUCJUSZ WŁODKOWSKI: — Niektórzy wolą, aby całość obrad była tylko plenarna.

MAREK BARTOSIK: — Dla mnie jednak najważniejszą sprawą, do której musi doprowadzić zjazd, to osiągnięcie stabilizacji wewnątrz partii.

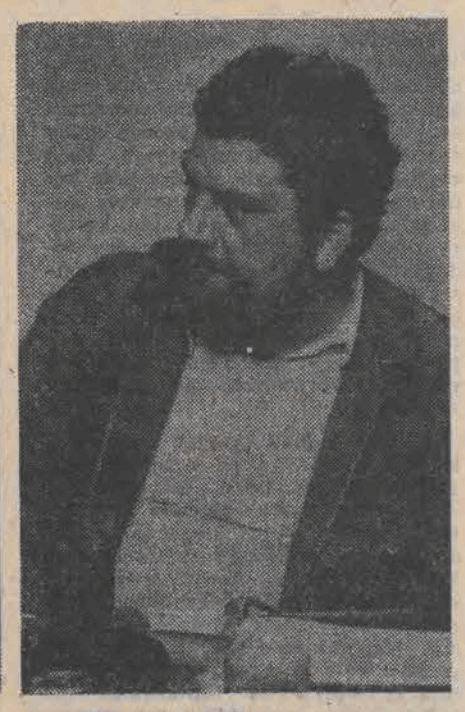

JACEK KOWALIŃSKI: — U mnie w fabryce powiedzieli wyraźnie. — Ty musisz wejść do komisji skrutacyjnej. Jak ty tam będziesz, to my uwierzymy, że nie było żadnych machlojek.

WIELE MOŻE NAS RÓŻNIĆ — ALE NIE DZIELIĆ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

spotkaniu przedstawiliśmy zasady pracy zespołów delegatów.

„ODGŁOSY": — I jak to zostało przyjęte?

M. BARTOSIK: — Bardzo różnie. Niektóre delegacje miały początkowo obawy, czy aby tak należy postępować. W końcu jednak inicjatywę uznano za pożyteczną i towarzysz Stanisław Kania wydał wręcz dyspozycję towarzyszowi Zdzisławowi Kurowskiemu, aby w ciągu trzech, czterech dni powołać centralny zespół i aby pracować w województwach przed zjazdem za pośrednictwem wojewódzkich zespołów delegatów. Na tym jednak skończyło się. A bez centralnego zespołu delegatów cała ta idea nie ma w ogóle sensu *).

„ODGŁOSY" — A więc jednak nie wszyscy jednakowo przyjęli łódzką inicjatywę.

L. WŁODKOWSKI: — Tak. Niektórzy delegaci nie mogli początkowo zrozumieć, dlaczego oni mają przygotowywać zjazd. Jest przecież od tego KC, który dysponuje odpowiednim aparatem wykonawczym i technicznym. A sprawa jest bardzo prosta. W kraju istnieje cały szereg różnych stanowisk organizacji partyjnych, różnych porozumień, „forum" i tak dalej, które powinny być ze sobą skonfrontowane i z tej konfrontacji powinny wynikać jakieś wnioski, uzgodnienia. Ktoś to musi zrobić. Jeśli teraz, w tak krótkim czasie, delegaci zaczną nad tym wszystkim pracować, to przyjadą na zjazd nieprzygotowani. Powinni zatem dostać materiały już gotowe do podejmowania przez nich decyzji.

Popatrzmy na konferencje partyjne różnego szczebla. Tam, gdzie wcześniej delegaci brali udział w ich przygotowywaniu, tam przebiegły sprawnie i przyniosły znacznie lepsze rezultaty niż tam, gdzie delegaci nie brali udziału w przygotowaniach. Z tych doświadczeń trzeba wyciągnąć właściwe wnioski i dla samego zjazdu.

Sz. JÓŹWIAK: — Byłoby poważnym błędem, gdybyśmy teraz zaczęli na nowo dyskutować nad programami porównując różne wojewódzkie dokumenty zgłoszone do dyskusji nad „Założeniami programowymi". Założenia te muszą stanowić szkielet wszelkich zmian. Nawet, jeśli coś odrzucamy, to trzeba na to miejsce zaproponować inny tekst, ale trzymający się przyjętego w „Założeniach programowych" porządku i szkieletu. Inaczej powstanie bałagan.

M. BARTOSIK: — Tak też się postępuje. „Założenia", czy „Projekt Statutu" stanowią taki właśnie szkielet. Z „Projektem Statutu" — jak mówiłem — jest mniej kłopotu. „Założenia programowe" są natomiast bardzo krytykowane i teraz zadaniem delegatów jest, aby na miejsce krytykowanych partii „Założeń" przygotować inne sformułowania, żeby nie robić tego na samym zjeździe.

I. STASIŃSKA: — Skoro tu już padły słowa dotyczące doświadczeń konferencji wojewódzkich, to sądzę, że również pewne słabości Łódzkiej Konferencji Partyjnej wynikają z tego, że nie było przedtem właściwej pracy delegatów.

M. BARTOSIK: — Moim zdaniem był to poważny błąd polityczny. Przez to delegaci na zjazd nie mają syntezy tego wszystkiego, co stanowi dorobek konferencji dzielnicowych. Muszą teraz sami wykonać tę pracę, którą powinna była wykonać Łódzka Konferencja.

I. STASIŃSKA: — Uważam też, że błędem było chyba prowadzenie całej dyskusji tylko na posiedzeniu plenarnym. Moim zdaniem powinny być powołane komisje problemowe i część dyskusji powinna się odbyć w tych komisjach.

Sz. JÓŹWIAK: — Ja też uważam, że powinna być dyskusja w zespołach problemowych. Jestem lekarzem. Na polityce nie znam się. Ale na organizacji służby zdrowia podobno nieźle. Moje środowisko wywiera na mnie presję, abym pilnował spraw służby zdrowia. Gdzieś te sprawy trzeba będzie podnieść.

L. WŁODKOWSKI: — Czy to znaczy, że jesteście też za tym, aby zjazd obradował w zespołach problemowych?

Sz. JÓŹWIAK: — Naturalnie.

I. STASIŃSKA: — Ja też tak uważam.

L. WŁODKOWSKI: — Jest zresztą taki projekt, aby powstały na zjeździe zespoły problemowe. Nie wszyscy są co do tego przekonani. Niektórzy wolą, aby całość obrad była tylko plenarna. W komisjach — powiaają — to się wszystko rozmydli, a my mamy zobowiązania wobec wyborców, którzy chcą wiedzieć, co i jak będziemy mówili na zjeździe.

„ODGŁOSY": — Jeden z delegatów na Łódzką Konferencję powiedział nawet, że jeśli nie spełnicie oczekiwań, to was do Łodzi nie wpuszczą.

L. WŁODKOWSKI: — Właśnie. Ale to nie jest takie proste. Mnie też zapytano na jednym ze spotkań, jak ja wyobrażam sobie spełnienie oczekiwań moich wyborców, a mnie akurat desygnowali na delegata przedstawiciele środowiska kultury. Inni desygnowani są przez inne środowiska, miasta, gminy Jeśli każdy zechce zabrać głos, to zjazd może potrwać z miesiąc, a nie o to przecież chodzi. Swoją rolę rozumiem zatem tak, że muszę zrobić wszystko, aby problemy, które powierzyli mi moi wyborcy, a więc problemy kultury rozumiane jak najbardziej szeroko, znalazły swoje należyte miejsce w uchwałach zjazdu, w programie partii i w innych dokumentach, jakie zjazd uchwali. I dla osiągnięcia tego celu najbardziej skuteczna wydaje mi się praca w zespołach problemowych. To raz. A dwa — to należyte przygotowanie się przed zjazdem.

Sz. JÓŹWIAK: — Sądzę, że byłoby dobrze, gdyby jeszcze przed zjazdem nastąpiły spotkania delegatów z poszczególnych środowisk. Oczywiście spotkania na szczeblu centralnym.

M. BARTOSIK: — Jak do tej pory odbyło się jedno takie spotkanie z delegatami wyższych uczelni i placówek naukowych. Odbyło się ono akurat w czasie trwania obrad XI Plenum KC, a dokładnie w drugim dniu obrad.

J. KOWALIŃSKI: — Przysłuchuję się dyskusji i właściwie wam zazdroszczę. Nie wiem, czy nas po zjeździe wpuszczą do Łodzi czy nie — jak to groził delegat z „Fako" na Łódzkiej Konferencji — ale mnie mogą nie wpuścić to fabryki. Wy będziecie rozliczali się przed środowiskami. Trudno dziś powiedzieć jak was ocenią. Ale ja będę musiał rozliczyć się przed załogą „Polanilu". A to nie będą żarty. U mnie w fabryce powiedzieli wyraźnie. — Ty musisz wejść do komisji skrutacyjnej. Jak ty tam będziesz, to my uwierzymy, że nie było żadnych machlojek, a jak będą inni, to nie uwierzymy.

I. STASIŃSKA: — No to mam kandydata do komisji skrutacyjnej, a nasza delegacja ma trzy miejsca. Zawsze są z tym kłopoty, teraz będzie mniej, bo jedno miejsce już wiadomo kim obsadzić.

Tylko, że ja nie wiem, czy jest nam czego zazdrościć. A przynajmniej mnie. Nie wiem też, czy w składzie delegatów na zjazd będą inni przedstawiciele poligrafii. Ale, jeśli nawet będą, to mnie i tak tu w Łodzi nie darują, jeśli na zjeździe nie przedstawię problemów poligrafii. Nie mamy papieru, kleju, części do maszyn, farb, płótna na oprawy książek, a książki drukować musimy. Przede wszystkim podręczniki dla dzieci i młodzieży. Mówiłam o tym na konferencji środowiskowej : będę mówiła przy każdej innej okazji, bo taki nałożono na mnie obowiązek. Chyba jednak delegatom z przemysłu będzie lżej, bo was jest więcej i łatwiej wam będzie zaprezento-

J. KOWALIŃSKI: — Nie. My, co prawda, wytwarzamy tylko przędzę, więc nie mamy bezpośredniego wpływu na jakość produktu końcowego, ale to co robimy, staramy się robić dobrze.

M. BARTOSIK: — To znaczy, że macie rezerwy, jeśli przy takich trudnościach wykonujecie plany.

J. KOWALINSKI: — Mamy. Tylko nie mamy warunków i możliwości do ich wykorzystania. Poza tym na jakości pracy ciąży atmosfera niepewności, poważny wpływ mają sprawy związane z zaopatrzeniem miasta w artykuły żywnościowe, popierosy i inne. My nie bardzo wiemy, jak to będzie z zaopatrzeniem w surowce w drugim półroczu, pod koniec roku. Wiemy, że będą kłopoty energetyczne. To nie jest dobra atmosfera dla dobrej pracy.

Ale to są sprawy, z którymi musimy uporać się na miejscu, nie możemy o tym dyskutować na zjeździe. Tam trzeba będzie ustalać kierunki działania, programy, generalne posunięcia. Do tego, jak to konkretnie realizować w województwie, mieście, fabryce, do tego wrócimy już po zjeździe, przy realizacji tego, co na zjeździe uchwalimy. Myślę, że przede wszystkim będziemy musieli na zjeździe ostatecznie zdecydować, co dalej będzie z reformą gospodarczą. Jak będziemy ją realizowali. Jakie określimy cele, które ma przynieść reforma gospodarcza.

„ODGŁOSY": — Spraw jest dużo, czasu mało, co wobec tego trzeba robić, aby ten czas wykorzystać jak najpełniej?

M. BARTOSIK: — Uratować z propozycji powołania centralnego zespołu delegatów to, co jeszcze można uratować, a co wyszłoby z pożytkiem dla pracy zjazdu.

J. KOWALIŃSKI: — Uświadomić sobie i innym, że zjazd cudu nie uczyni i wszystkiego nie załatwi. Określi kierunki działania, a wiele spraw przyjdzie nam jeszcze rozwiązywać po zjeździe. Poza tym życie postawi po zjeździe nowe sprawy, które trzeba będzie rozwiązywać w zgodzie z przyjętymi uchwałami, z przyjętym programem. To będzie zadanie dla wszystkich organizacji partyjnych.

L. WŁODKOWSKI: — Spodziewam się, że zjazd dokona przełomu w sposobach myślenia i to będzie podstawa dla dalszej pracy. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że po zjeździe będzie więcej pracy niż jest jej przed zjazdem.

Sz. JÓŹWIAK: — Dla wielu rozwiązań trzeba uzyskać generalną aprobatę, ale problemy rozwiązywać później będziemy w zależności od warunków. Na przykład są różne programy, jeśli chodzi o zmiany w służbie zdrowia, trzeba do nich tylko sięgnąć, ponownie je przeanalizować i zacząć realizować to, to jest do realizacji. Muszą jednak powstać do tego właściwe sprzyjające warunki. My odczuwamy na przykład bardzo potrzebę powołania jakiejś komisji koordynacyjnej, która skonsolidowałaby organizacje partyjne służby zdrowia, bo są one — podobnie jak w kulturze — bardzo rozproszone. Nie musi to być zaraz komitet środowiskowy, bo nie o to chodzi. Do mnie miano nawet pretensję, że nie mówiłem o tym na Łódzkiej Konferencji, gdyż byłem jedynym delegatem ze służby zdrowia, który tam głos zabierał.

J. KOWALIŃSKI: — Na Dąbrowie przemysłowej występuje tendencja do połączenia się komitetów zakładowych, co dawałoby nam możliwość bezpośredniego wybierania delegata na zjazd.

M. BARTOSIK: — Rozumiem, że byłby to taki komitet okręgowy. Tendencje do bezpośredniego wybierania delegatów są szersze. Nawet odpowiednie projekty złożono w KC. Ale to rzeczywiście sprawa na później. Natomiast, jeśli chodzi o ewolucję struktur w partii, to myślę, że wystarczy odpowiedni zapis w Statucie, dający możliwość konferencjom wojewódzkim dopasowywanie jej do regionalnych potrzeb. Dla mnie jednak najważniejszą sprawą, do której musi doprowadzić zjazd, to osiągnięcie stabilizacji wewnątrz partii.

L. WŁODKOWSKI: — Co przez to rozumiesz?

M. BARTOSIK: — Rozumiem przez to ustalenie właściwych proporcji między centralizmem a demokracją. A więc nie ograniczanie dyskusji i zamykanie ludziom ust, ale, przy swobodzie wyrażania swoich poglądów i ich bronienia, stworzenie warunków dla jedności działania. Uchwały partii muszą być konsekwentnie i jednolicie realizowane.

L. WŁODKOWSKI: — Powinny one być tak formułowane, aby nie krępowały inicjatyw organizacji partyjnych, a pobudzały je, zmuszały do samodzielnego działania, do samodzielnego poszukiwania najlepszych rozwiązań. Praktyka pokazuje, że wiele organizacji już się tego uczy.

M. BARTOSIK: — Ale to nie wszystko. Zjazd musi bowiem, poprzez swoje rozwiązania, zagwarantować funkcjonowanie podstawowych mechanizmów, które będą uniemożliwiać naruszenie tych proporcji między centralizmem a demokracją. Następnie zjazd musi przeprowadzić takie rozwiązania kadrowe, które umożliwią rzeczywistą jedność partii, to znaczy pozwolą na likwidację linii podziału między kierownictwem a resztą partii, niekiedy nazywaną „bazą partyjną". Ja tego terminu bardzo nie lubię.

J. KOWALINSKI: — W miarę rozwoju kampanii wyborczej te linie podziału na różnych szczeblach zaczęły znikać.

M. BARTOSIK: — Ale nie do końca i nie wszędzie, bo często na skutek ugruntowanej nieufności do starych władz coś z tego przenosiło się i na nowe. Ale to inna sprawa. Mnie chodzi przede wszystkim o to, że jeśli spodziewamy się stabilizacji, to najpierw musi być stabilizacja polityczna, czyli w partii, później społeczna, a na końcu gospodarcza. Bez takiej kolejności niemożliwa jest stabilizacja ogólna. Myślę, że warto byłoby na koniec przypomnieć takie hasło, co prawda dziś ludzie haseł nie lubią, ale ja mimo to powiem: wiele może nas różnić, ale nie dzielić.

„ODGŁOSY": — W imieniu naszych Czytelników życzę pomyślnych rezultatów na zjeździe, dziękuję za udział w naszej dyskusji i zapraszam ponownie do redakcji po zjeździe, aby można było naszym Czytelnikom przedstawić Wasze wrażenia, uwagi, refleksje, przemyślenia i plany.

Dyskusję opracowała:
BOGDA MADEJ

*) 25 czerwca odbyło się w Warszawie pierwsze posiedzenie Centralnego Zespołu Delegatów. Fakt ten nie zmienia sensu krytycznych uwag na ten temat, jakie znalazły się w publikowanej powyżej dyskusji, potwierdza natomiast słuszność inicjatywy łódzkich delegatów.

Foto: Z. W. Nowak

EDUKACJA POLITYCZNA

Po drodze do demokracji (III)

WSZYSTKIEMU WINNI ONI CZYLI PRAWO DLA KAŻDEGO

JOLANTA WROŃSKA

Postulując rządy mądrego prawa, kładziemy nacisk na tworzenie i doskonalenie regulatorów życia społecznego. Gdy mowa o praworządności, mamy na uwadze pewne ramy formalne porządku prawnego. Zbyt często jednak umyka nam z pola widzenia aspekt subiektywny tego zagadnienia, a mianowicie stan kultury prawnej, lub raczej pewnego rodzaju „poczucie prawne" społeczeństwa. Zbyt rzadko analizujemy społeczne (w sensie najszerszym, także psychologicznym) funkcjonowanie prawa. Spróbujmy więc ocenić, jak rozumieją praworządność przeciętni obywatele.

Wpierw jednak przyjąć trzeba założenie wstępne. Otóż każdemu prawnikowi i nie tylko, wiadomo, że nic tak nie deprawuje jak złe prawo. Złe, czyli zacofane w stosunku do stanu rozwojowego społeczeństwa, hamujące dalszy rozwój, wewnętrznie niespójne, wprowadzające bałagan w najprostsze sprawy. Nie można zapominać, że rzeczywistość prawna miała i ma niestety nadal, fatalny wpływ na formowanie się całego szeregu poglądów czy postaw osobniczych i zbiorowych, powodujących wiele skrzywień i urazów w psychice narodu. Sławetna ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym prominentów i ich rodzin niech będzie tu jedynym, ale za to sztandarowym przykładem. **Skoro możliwa była taka paranoja antyprawna, to nie mogła ona zostać bez wpływu na społeczny szacunek dla prawa.**

Największą wadą i groźbą społeczną jest niespójność prawa. Mogą istnieć doskonałe regulacje w wielu dziedzinach, lecz wystarczy kilka niekonsekwencji, by skutecznie zniweczyć podstawowe funkcje porządku prawnego — regulacyjną i wychowawczą. Luki te uderzają w elementarne poczucie sprawiedliwości społecznej i poczucie bezpieczeństwa, jakie winno obywatelowi gwarantować prawo. Tym samym mnożą się postawy aspołeczne: cwaniactwo i bezkarność.

Kultura prawna „leży" w narodzie zupełnie, tak po stronie rządzących jak i rządzonych, a bywa też, i to jest najgorsze, że dotyczy tych, których obowiązkiem jest strzeżenie prawa.

I wymiar sprawiedliwości i administracja państwa składa się z ludzi, członków tego samego społeczeństwa, tak więc podlegających tym samym procesom. Obieg myślenia o praworządności jest systemem naczyń połączonych: gdy władza się degeneruje, to i ogół społeczeństwa częściej zaczyna omijać prawo. Równość wobec prawa, podstawowy element socjalistycznej praworządności, zwłaszcza dziś stanowi kanwę narodowej dyskusji. Czymże bowiem innym jest społeczny nacisk „rozliczeniowy", postulaty zmian w różnych zakresach prawnych regulacji, czy choćby powszechnie wyrażana potrzeba rygorystycznego określenia podziału kompetencji poszczególnych organów politycznych, państwowych, gospodarczych itd.

Bardzo to pozytywne objawy wrażliwości społecznej, jednak jakość „postaw prawnych", budzi pewne obawy. To „ale" dotyczy pytania czy równo mierzymy miarkę prawa dla siebie i dla innych. Absolutnie niepodważalna jest konieczność pociągnięcia do odpowiedzialności, także karnej, wielu osób sprawujących onegdaj funkcje władcze. Niepokoić jednak musi sposób i zakres tych rozliczeń. Sposób — wyraża się w dość rozpowszechnionej metodzie „włóczenia trupów". W oczach, skądinąd zasadnie rozwścieklonego narodu, mocno podejrzany lub wprost winien jest każdy, kto w niewielkim choćby stopniu uczestniczył w funkcjach władczych. Szczególnie skondensowana nienawiść otacza tych „z wysoka", bo też daleko widać było ich wyczyny, a i skutki społeczne, często dotkliwe, miały szeroki zasięg. **Presja rozliczeniowa może mieć jednak niedobre skutki właśnie dla idei praworządności, więc i dla stanu świadomości prawnej społeczeństwa.** Osoba, którą obarcza ogromny ciężar oskarżenia społecznego, ma, jak każda inna, niezbywalne prawo do obrony. Presja na wymiar sprawiedliwości w jakiejkolwiek postaci jest próbą pozbawienia sądzonych tego prawa. To samo dotyczy wszelkich innych okoliczności wpływania na werdykty sądu (ostatnio fala głodówkowa była taką właśnie, idiotyczną w formie presją, wymuszającą określone stanowisko sądu). To nie ulica ma ferować wyroki. O wymiarze kary powinna decydować obiektywnie oceniona waga win i ich skutków społecznych, zaś wyrok leży w gestii sądu. Wyłącznie! Prawo, jeśli ma prawo znaczyć, jest równe dla wszystkich, choć nie było bardzo długo. **Nie wolno jednak przywracać praworządności takimi sposobami.**

Tymczasem co widzimy? Z jednej strony ostra, bezwzględna presja z dołu. Z drugiej zaś — nowa ekipa rządząca. Odcinając się spektakularnie od „minionych decydentów", władza zapomina, że z punktu naraża się na podejrzenie, iż za plecami tych „pierwszych na liście", ukryło się stu innych z brudnymi rękoma, których nikt nie włóczy po sądach i komisjach. W ten sposób obie strony, rządzący i rządzeni, negliżują niski poziom rozumienia pojęcia praworządności. Presja na sąd, choćby i najbardziej umotywowana społecznie, jest bezprawiem, zaś specjalne circenses sądowe, organizowane ludowi dla jego uspokojenia, są w gruncie rzeczy próbą uprawomocnienia niepraworządności, prawo nie może się bowiem stawać politycznym pręgierzem.

Kolejna wątpliwość, to zakres dokonywanych i postulowanych rozliczeń. To, co obserwuję, nasuwa mi nieodparcie skojarzenie z programem kabaretu Pietrzaka pt. „Wszystkiemu winien Maciej"! Naród strasznie jest cięty na prominentów, niechby i z gminy. Nie widzi natomiast swego własnego pryszcza na nosie. Oto ta część rządzona, czyli my (nie „oni"), chcemy się widzieć jedynie w roli męczenników podłego systemu i ohydnych tyranów. Winni są oni, nie my! Bardzo to zastanawiające, dlaczego rozliczeniowa pasja nie dotyczy także tych kanciarzy, złodziejaszków i innych kolorowych osób, które możemy wskazać palcem w najbliższym otoczeniu. Dlaczego nie budzi naszego gniewu, dajmy na to urzędniczka z jakiegoś biura, choć panienka owa partaczy każdą robotę, na niczym się nie zna, a w ogóle to „te sprawy załatwia koleżanka". Jak to jest, że nie widzimy beztroskiego kierowcy autobusu, jak staje między przystankami (godziny szczytu), żeby napić się wody sodowej, albo kupić, bez kolejki oczyście, papierosy, wzbudzając chęć mordu w tłumie ofiar nałogu.

Chętnie nadzwyczaj bierzemy się za rozliczanie kierowników i dyrektorów, bo to i niewłaściwy styl kierowania, a najpewniej także ciągnięcie korzyści osobistych. Tylko nie widzimy słodkiej idiotki, sekretarki rzeczonego dyrektora, która zapomniała, że płacą jej za obsługiwanie interesantów sprawnie, kompetentnie i bez dyskusji. **Nie nawołuję do spuszczania zasłony miłosierdzia na winy tych, od których wiele zależało. Chciałabym jedynie dożyć czasów kiedy rozliczać się będzie równie twardo całe społeczeństwo, nie tylko władców.**

Groźna jest ta skłonność do łagodzenia win „dołu", no bo od niego „nic nie zależało". Jak na razie masa energii społecznej zużywa się w ściganiu czarownic z Olimpu, a wiedźmy spotykane codziennie w życiu żyją sobie w przekonaniu, że i tak wszystkiemu winni są „oni". W nurcie odradzania się podstawowych wartości ważnych dla życia narodu, konieczna jest refleksja nad działaniem mechanizmów, które umożliwiły tak rozległą degrengoladę. **Źródła tych mechanizmów tkwią nie tylko wysoko, w ośrodkach władzy, ale i u podstaw.** Społeczność ludzka to organizm pracujący na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Jest w polityce takie cyniczne powiedzenie, że każde społeczeństwo ma taką władzę, na jaką sobie zasłużyło. Przyjmując wszystkie uproszczenia tego twierdzenia, trzeba jednak ocenić stan aktualny narodu polskiego i spraw jego, biorąc pod uwagę wszystkie czynniki warunkujące, nie tylko własne emocje. Wszystkie, więc też i te niechętnie przyjmowane przez ogół do wiadomości, jako burzące dobre o sobie wyobrażenie. **Po raz wtóry podkreślam winę bierności społecznej, jako źródła większości wykrzywień.** Nie można nie widzieć, jak wiele zła dałoby się uniknąć, gdyby w tym najbliższym nam otoczeniu przeważało zdecydowane poszanowanie prawa, na tyle mocne, by nie pozwalało milcząco obserwować setek codziennych marszów na przełaj prawa. Bardzo potrzebujemy rozumienia prawa nie wyłącznie jako zapisu, lecz przede wszystkim jako naszej aktywnej obrony łamanego prawa. Zbyt często odwracamy się plecami do cudzych kombinacji, albo sami omijamy niewygodne dla naszego interesu przepisy.

Wiele luk w przepisach każe, w imię zdrowego rozsądku i dobrze pojętego interesu społecznego, przeskoczyć jakiś szczególnie idiotyczny przepis. Ale jeszcze częstsze jest robienie sobie z przepisów tarczy dla własnej indolencji, lenistwa, złej woli. Nie ma się co oszukiwać, kochamy za nic nie odpowiadać, toteż kwitnie lawiranctwo. Dobitnym tego przykładem jest zaciekły opór gospodarczych lobby'es przeciw wszelkim reformatorskim zakusom. Opór to potężny choć bierny, ot, wystarczy się zasłonić przepisami i już. Po co robić cokolwiek, skoro w ten sposób można się narazić na reorganizację, albo nie daj Boże, posądzenie, że się nie ma racji bytu. Pozostaje nam czekanie na brzytwę Okkhama.

Z kwestią praworządności i równości wobec prawa najściślej wiąże się problem sprawiedliwości społecznej. Pojęcie to budzi wielkie emocje; co człowiek to punkt widzenia. Przy tym trzeba rozdzielić dwie sfery występowania tego zjawiska. Jako cel zasadniczy polityki społecznej, oznacza to tworzenie takiego porządku prawnego, takich instytucji, ustalanie takich działań, które zaspokajać będą społeczną potrzebę sprawiedliwości. Drugą funkcją polityki społecznej jest kształtowanie optymalnego modelu preferencji oraz wytłumianie tych elementów, które stać się mogą hamulcem w realizacji celów ogólnospołecznych. Chodzi więc o wyważanie proporcji między grupowymi czy lokalnymi interesami, a ogólnym itd.

W sferze natomiast psychologicznej, jaką jest społeczne poczucie sprawiedliwości, mamy wielkie materii pomieszanie. Na ogół utożsamiamy sprawiedliwość społeczną z równością w dostępie do dóbr koniecznych i pożądanych. Ten egalitaryzm trąci czasem urawniłowką, jednym z jego przejawów jest teza (skądinąd oczywista), że „żołądki wszyscy mamy równe" Jednocześnie przyjmujemy odstępstwo od tej reguły, jeśli chodzi o konieczność ochrony i pewnych przywilejów dla poszczególnych grup ludności. I tu zaczyna się niestety poważny problem, a mianowicie, **kto kogo i dlaczego uważa za wskazane umieścić w tej uprzywilejowanej grupie.** Poza niemowlętami i ciężarnymi zaczynają się targi. Wyjątków przybywa i nagle okazuje się, że właściwie nam wszystkim i każdemu z osobna należą się jakieś przywileje. Spójrzmy na siebie spokojnie. Czy znajdzie się taki co powie, że nie dzieje mu się żadna krzywda, że sprawiedliwie dostał ile się należało, że ma to samo i tyle samo co inni? Mało takich, a jeśli się czasem trafią, to tzw. opinia publiczna kręci kółko na czole (no bo przecież tylko wariat uważa, że wystarcza mu co ma i nie musi więcej). **Bardzo trudno jest rozdzielić uzasadnione pretensje od egoizmów i prywaty.** Nadzwyczajnie rozpowszechniło się myślenie zgodne z filozofią Kalego. Dobrze, jak Kali komuś ukraść krowy. Jako dobre i sprawiedliwe postrzegamy to, co nam osobiście, naszej grupie zawodowej itp., przynosi korzyść, dlatego w takiej cenie siła przebicia (?). **Następuje paradoksalne rozdwojenie między głoszonym egalitaryzmem, a skwapliwie praktykowanym elitaryzmem.** Można za pewnik uznać, że głosicielami egalitaryzmu stajemy się tylko wówczas, gdy w naszym odczuciu dzieje nam się krzywda. Gdy zaś zagrożone są zdobyte przez nas przywileje, gotowi jesteśmy ich bronić do upadłego nie bacząc na straty innych. Nikt, broń Boże, nie głosi potrzeby przaśnego ubóstwa w imię wyższych celów. Chodzi o drobiazg, o uzgodnienie czy rezygnujemy z ideałów równościowych, bo i tak ich nie przestrzegamy, czy może raczej odwrotnie?

Jednym z najgroźniejszych społecznie objawów degrengolady zasad sprawiedliwości społecznej, jest powszechny niemal zanik związku między pracą, a uzyskiwanymi dobrami. Całkowitą społeczną aprobatę zyskała komunistyczna zasada „każdemu według jego potrzeb", (co stanowić może interesujący przyczynek dla teorii wybiórczości w adaptacji idei). Prozaiczna zaś zasada „każdemu według jego pracy" żyje co najwyżej w okolicznościowych przemówieniach. **W sytuacji mozolnego szarpania się u podstaw socjalizmu, można mówić o błyskawicznym wyprzedzeniu bazy — jakości pracy, przez nadbudowę — jakość potrzeb.** Święta i niepodważalna polska zasada „czy się stoi, czy się leży..." ma się znakomicie, a jak można wnosić z okresowo wznoszącej się fali żądań placowych, będzie się mieć jeszcze lepiej. To, co się dzieje w ciągu ostatniego czasu (choć rosło od lat), to już w żadnym wypadku nie są zasady sprawiedliwości społecznej, tylko prawo dżungli. Jedz bo inaczej ciebie zjedzą.

Nie jesteśmy społeczeństwem egalitarystycznie zorientowanym. Szereg drobniejszych obserwacji dodaje tylko barw powyższemu obrazkowi. Na przykład zasada „mieć więcej od sąsiada", tęsknoty za tytułami, sygnetami, herbami. Toż to czyste egalité. Można by zresztą długo przytaczać przykłady konsumpcji pokazowej, ale ręce opadają. **W tych egalitarystycznych zapędach ciągle nie możemy się dogadać kto właściwie ma ponieść głównie koszty reformy gospodarczej.** Bardzo jesteśmy wymowni w żądaniach spłaszczenia poziomu płac, ale równocześnie bronimy się wściekle przed urawniłowką płacową, wskazując na kwalifikacje, zakres odpowiedzialności służbowej etc... etc. Jak dotąd i tak nie płaci się za umiejętności, bo przecież nauczyciel zarabia mniej od kierowcy.

Jesteśmy za sprawiedliwością, ale wybiórczą, dla tych mocniejszych. Przykład? Proszę — ludzi niepełnosprawnych broni garstka, a otacza cały ocean obojętności, głupoty i braku wyobraźni. Gorzka to konstatacja, żeśmy jak dotąd nie zdezaktualizowali słów Kochanowskiego: **Ani prawa ważą, ani sprawiedliwość ma miejsce, a wszystko złotem kupić trzeba.**

FILM

kalkomania

JERZY DARNAL

W dwudziestoleciu międzywojennym ulubionym zajęciem uczniów było ozdabianie piórników barwnymi kalkomaniami. Wystarczyło w najbliższym sklepie papierniczym zakupić arkusz z gotowymi malowankami, a następnie zwilżyć go wodą. Nawet przy niewielkiej wprawie łatwo można było przenieść kolorowy obrazek na gładką powierzchnię. **Bohdan Poręba i Ryszard Filipski** zapragnęli widocznie przeżyć powtórnie własną młodość i zabrali się do robienia kalkomanii... kamerą filmową. Mam na myśli filmy **„Polonia restituta"** oraz **„Zamach stanu"**, które nie tak dawno miały premierę na ekranach naszych kin. Oba te ogromne, dwuczęściowe obrazy powstały w nie istniejącym już zespole **„Profil"**; **„Zamach stanu"** współfirmuje, także rozwiązany ostatnio, zespół **„Kraków"**.

Oba filmy należą do modnego ostatnio nurtu paradokumentalnego, który zaowocował w naszej kinematografii takimi pozycjami jak **„Śmierć prezydenta" Jerzego Kawalerowicza** oraz **„Gdziekolwiek jesteś panie prezydencie" Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego.** Są z nimi także zbieżne tematycznie, w pewnym oczywiście sensie, gdyż zajmują się problematyką II Rzeczypospolitej, która stosunkowo niedawno utorowała sobie drogę do kin.

Likwidowanie białych plam jest na pewno zajęciem pożytecznym społecznie już choćby dlatego, że wszelkie zakazy rodzą się niepotrzebne frustracje i kreują mity. Cierpi na tym świadomość historyczna, która w naszym systemie nauczania nie jest akurat powodem do chwały. Można więc tylko przyklasnąć inicjatywie ukazania genezy naszej państwowości po latach rozbiorów **(„Polonia restituta")** czy też drobiazgowego odtworzenia wypadków majowych z r. 1926 oraz ich następstw politycznych w Polsce, czego dowodem słynny proces brzeski **(„Zamach stanu")**. Są to, niestety, jedyne komplementy, jakimi mogę uroczyć autorów obu filmów.

Poręba i Filipski nie mają ostatnio dobrej prasy, może dlatego, że uczestniczyli 8 marca w wiecu na Koszykowej, na którym proklamowano Zjednoczenie Patriotów „Grunwald", a sam **Poręba** został nawet jego prezesem. Różni publicyści i recenzenci wyciągają przy okazji wyjątkowo wysokie koszty produkcji obu filmów, koszty nie usprawiedliwione ponoć efektem artystycznym. Podnoszą także liczne uproszczenia, a nawet fałsze historyczne poprzez tendencyjny dobór materiału faktograficznego.

Ten ostatni zarzut wydaje mi się najmniej uprawniony, trudno bowiem wymagać od filmu o ambicjach artystycznych, aby zachował podręcznikowy obiektywizm narracji. Wiemy zresztą, że rzadko udaje się to także podręcznikom. Wielki polski dziejopis **Szymon Askenazy** słusznie zwrócił był swego czasu uwagę, że **„historia obok swego dostojeństwa, w znaczeniu jednej z wielkich gałęzi wiedzy humanistycznej, jest równocześnie jednym z najpoważniejszych rodzajów służby publicznej"**. Dodawał także, że **„nie jest (ona) przeznaczona wyłącznie dla uczonych, którym wystarczy ścisły i suchy wykład danych faktycznych, lecz dla publiczności, która wymaga silniejszych bodźców"**. Tendencyjność nie jest złem samym w sobie, pod warunkiem oczywiście, że komentarz nie będzie zastępował albo wyręczał faktów.

Aczkolwiek **„Zamach stanu"** Filipskiego powstał wcześniej niż **„Polonia restituta"**, był bowiem prezentowany na VII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku, gdzie uzyskał jedną z nagród, nasze omówienie rozpoczniemy od filmu **Poręby**, choćby dlatego, że jego obraz dotyczy wydarzeń chronologicznie wcześniejszych. **Włodzimierz T. Kowalski,** we wstępie do swej książki **„Rok 1918"**, która, jak się nietrudno zorientować, posłużyła za kanwę do scenariusza **„Polonii"** będącego także jego autorstwa, stwierdził:

„Przedmiotem niniejszej książki są międzynarodowe uwarunkowania procesów i zjawisk politycznych, które doprowadziły do odzyskania niepodległości Polski w roku 1918, a następnie do ustalenia jej miejsca na mapie politycznej w wyniku kongresu pokojowego w Wersalu. Treść książki wykracza zatem poza jej tytuł i obejmuje również niektóre wydarzenia roku 1919. Sytuacja wewnętrzna ziem polskich trzech zaborów, programy i orientacje stronnictw i partii politycznych, ich rywalizacja — w przyjętym układzie konstrukcyjnym — stanowią jedynie tło dla pełniejszej oceny przebiegu walki o sprawy polskie na froncie dyplomatycznym.

(...) Jednocześnie starałem się o ukazanie tych fragmentów i sytuacji sprawy polskiej z lat 1914—1919, które są mniej znane, a stanowią o głębokiej tradycji walk o Polskę, które mówią o wielkich charakterach, o rozumie politycznym i utraconych możliwościach, o elementach świadomości historycznej, tożsamości narodowej i treściach współczesnego myślenia politycznego trzech pokoleń Polaków."

Stała się rzecz paradoksalna: to, co zrealizowane zostało w książce, zagubione zostało w filmie operującym w zasadzie tymi samymi faktami. Co u profesora **Kowalskiego** było opisem albo relacją, w filmie **Poręby** doznało przecież materializacji z dużą dbałością o detale. A w tej pogoni za weryzmem, zaginęła gdzieś porządkująca myśl i w ostatecznym rachunku mamy do czynienia z materiałem niespójnym zarówno ideowo jak emocjonalnie. Na dobrą sprawę trudno jest nawet odczytać intencje reżysera, chociaż kilka scen, tych zwłaszcza, w których występuje **Roman Dmowski,** zdaje się wskazywać, że autor lokuje swoje sympatie po stronie obozu narodowego. Niestety, widz nie ma cierpliwości, żeby prześledzić prezentowane przez reżysera racje, film dłuży się, chyba dlatego, że **Poręba** nie znalazł klucza narracyjnego Nie stał się takim kluczem wątek braci **Pawlaków,** którzy mają chyba symbolizować rozdarcie społeczeństwa polskiego, z winy zaborców zmuszonego do bratobójczej walki. Ten niesłychanie zubożony psychologicznie wątek w gruncie rzeczy demaskuje imitacyjny charakter konfliktu, jakby przyczepionego do filmu, chociaż

JAK MNA MANIPULOWANO 2

Adam Bieńkowski

W końcu lat czterdziestych, gdy redagowałem *„Głos Kutnowski"* żywo interesowałem się tym miastem, jego historią, ludźmi i obyczajami. Do dziś w całej Polsce, a szczególnie w łódzkim regionie, modne jest powiedzenie: *„Kto nie był w Kutnie, ten nie zna życia"*. Już wówczas za punkt swego dziennikarskiego honoru postanowiłem ustalić źródła tego porzekadła. Nie było to łatwe. Rozmawiałem z dziesiątkami ludzi, rodowitymi kutnowianami, nauczycielami, starymi urzędnikami magistrackimi, którzy wysuwali różne hipotezy, ale tak naprawdę to i dziś nie ma pełnej jasności co do tego. Najbardziej prawdopodobne wydają mi się dwa warianty jego powstania.

Pierwszy. Na cotygodniowe jarmarki ściągały do Kutna setki okolicznych chłopów, rzemieślników i handlarzy. Można tu było wszystko kupić i sprzedać. Na przełomie obecnego stulecia w rynku otwarta została restauracja pod nazwą *„Życie"*. W niej zawierano ważniejsze transakcje handlowe, tu oblewano udaną sprzedaż i udane zakupy. Coś w rodzaju miejscowej giełdy, na której można było dobrze zjeść, wypić i zabawić się, bowiem obrotny właściciel w sąsiednim domu prowadził pokoje z panienkami. Nierzadkie były wypadki, że co poniektórzy chłopi i właściciele folwarków wracali do domów z miłymi wspomnieniami zamiast pieniędzy. No i potem przy sąsiedzkich pogwarkach, gdy ktoś tam chwalił się bytnością w Warszawie czy Łodzi, oskubany z pieniędzy delikwent, lekceważąco machał ręką. — Co tam Warszawa, kto nie był w Kutnie to nie zna *„Życia"*. No i tak już zostało.

Wersja druga ma potwierdzenie w faktach. W roku 1928 na otwarcie I Międzynarodowych Targów Poznańskich zaproszono cały korpus dyplomatyczny. Oczywiście godnie tam zostali podjęci i w szampańskim nastroju wracali z Poznania do Warszawy. Trasa dość długa, postanowiono więc zatrzymać się w Kutnie, by coś wypić i przekąsić. W okresie międzywojennym Kutno słynęło z kilku dobrych lokali, gdzie wesoło bawili się liczni w okolicy właściciele majątków ziemskich. Szczególną renomą cieszyła się restauracja w rynku, gdzie ponoć szefem od potraw był wieloletni kuchmistrz księcia Radziwiłła. Tu też zaproszono na drobną przekąskę zagranicznych gości. Kuchnia i nastroje musiały być rzeczywiście wspaniałe, bowiem przekąska przedłużyła się do obiadu, a potem kolacji, tak że do Warszawy dyplomaci odjechali dobrze po północy. W kilka dni potem Polskie Radio przeprowadziło wywiady z kilkoma zagranicznymi gośćmi pierwszych Targów Poznańskich. Dość szokującej wypowiedzi udzielił przedstawiciel poselstwa francuskiego. Na temat targów ograniczył się do kilku zdawkowych grzeczności, natomiast nie miał słów uznania dla polskiej gościnności, polskiej kuchni, barwnie opisując przy tym pobyt w małym mieście, ale jakże wesołym. Swą wypowiedź zakończył: — *Po powrocie do Paryża powiem moim przyjaciołom „Kto z was nie był w Kutnie, to nie zna życia!"*. Bardzo to się podobało radiosłuchaczom, a pamiętajmy, że wówczas radiowy detektorek z kryształkiem spełniał taką rolę jak dziś telewizor.

Redagując tam gazetę, przez dwa lata prawie codziennie dojeżdżałem z Łodzi do Kutna. Okres co prawda krótki, ale muszę przyznać, trochę życia to tam poznałem. I to życia politycznego; a co najważniejsze od tak zwanych kulis. Już wtedy uczono mnie, że przodującą rolę w państwie socjalistycznym sprawuje partia. W państwie tak, ale w Kutnie wówczas najważniejsze były Związki Zawodowe, a uściślając zagadnienie, najwięcej do powiedzenia w mieście i powiecie miał towarzysz *Jan Banasiak*, przewodniczący Powiatowej Komisji Związków Zawodowych.

Niezwykle barwna i ciekawa to była postać. W Związku Zawodowym Kolejarzy działał gdzieś od 1930 roku. W tym ostatnim przedwojennym dziesięcioleciu więcej przesiedział w więzieniu za swe przekonania polityczne niż w lokalu ZZK w Azorach pod Kutnem. Po wyzwoleniu partia skierowała go do pracy związkowej i jej oddał się całkowicie.

Gdy przybyłem do Kutna jako szef miejscowej gazety, dobrzy ludzie poinformowali mnie, że pierwsza rzecz jaką mam tu do zrobienia, to złożenie oficjalnej wizyty towarzyszowi *Banasiakowi* w PKZw Zaw. Przyjął mnie w swoim gabinecie, bardzo gustownie urządzonym. Boazeria, skórzane fotele, duża palma, ale spojrzałem na ścianę i jak to dziś młodzież mówi „odkorkowałem". Cóż zobaczyłem?

Za biurkiem na ścianie zgodnie z przepisami wiszą — godło państwowe oraz portrety prezydenta *Bieruta*, premiera *Osóbki-Morawskiego*, marszałka Polski *Roli-Żymierskiego*, a z boku trochę niżej po prawej portret Stalina, a z drugiej strony — portret towarzysza *Banasiaka!* Wszystkie pod szkłem i w takich samych ramkach. Coś takiego widziałem po raz pierwszy w życiu i chyba po raz ostatni. Być może zbyt długo wpatrywałem się w ten portret, bo po chwili tow. *Banasiak* dał odpowiedni komentarz.

— *Towarzyszu redaktorze, nie dziwcie się, ja tu dziennie przyjmuję kilkudziesięciu interesantów. Tych wszystkich z portretów to oni w życiu nie widzieli i chyba nie zobaczą, a ja też reprezentuję władzę. Jak wrócą do swojego zakładu pracy, to powiedzą towarzyszom że rozmawiali z takim, co jego portret też wisi. Władzę trzeba szanować, tym bardziej, że to jest władza nasza, socjalistyczna!*

Wtedy byłem tym zbulwersowany, dziś w duchu przyznaję rację tow. *Banasiakowi*.

Bardzo modne były wówczas konferencje prasowe i rajdy dziennikarskie. Rajd po linii skupu, rajd przeciwko spekulantom i to bardzo podobało się tow. *Banasiakowi*. Uważał, zresztą słusznie, że prasa musi służyć interesom klasy robotniczej. W myśl tej idei zawezwał mnie po kilku dniach i oświadczył, że *„Głos Kutnowski"* będzie realizował postulaty kutnowskich związkowców i od tej pory jestem do dyspozycji jego osoby i polityki związkowej, którą on na tym terenie reprezentuje.

Tak więc w pracy związkowej dotychczasowe narady otrzymały nazwę konferencji prasowych, a kontrole w zakładach pracy rajdów dziennikarsko-związkowych. Miałem pełne ręce roboty, ale nie brakowało tematów do gazety. Był tylko jeden mankament. Organizatorzy uważali, że zgodnie ze starą ziemiańsko-szlachecką tradycją, która tu przez wiele jeszcze lat pokutowała, konferencja musi być zakończona bankietem. Trudno się z tego wymigać. Wiadomo też było, że przewodniczący ma trunkowe skłonności. To prawda, ale faktem jest, że głowę miał mocną i nikt tow. *Banasiaka* nie widział pijanego. Nie z każdym chciał zasiadać do stołu. Jeśli w trakcie konferencji okazało się, że w tym zakładzie źle się dzieje, dyrekcja nie dba o załogę, to nie zostawał na części nieoficjalnej. Wszyscy też wiedzieli, że jeśli z kimś pije, to nie wolno wtedy załatwiać swych spraw, lub spraw swego zakładu. Po prostu bez słowa wstawał od stołu i wychodził.

Mijały tygodnie, miesiące, coraz bardziej zacieśniała się nasza współpraca, a nawet przyjaźń, mimo iż *Banasiak* był ode mnie dwadzieścia parę lat starszy. Miał swoistą filozofię życiową, znał się dobrze na ludziach, nienawidził biurokratów i dorobkiewiczów, i... pijaków. Pełnił funkcję przewodniczącego Powiatowego Komitetu Przeciwalkoholowego i trzeba przyznać, że działał aktywnie. Likwidował meliny, a bufetowe i ekspedientki sprzedające wódkę nieletnim karane były wysokimi grzywnami. Pewnego dnia do Komitetu Przeciwalkoholowego przyszedł list od koła gospodyń wiejskich w Bedlnie. Skarżyły się w nim, że ich mężowie rozpijają się w sklepie Gminnej Spółdzielni. Zamiast pracować w polu, całe dnie spędzają w sklepie lub w magazynie gdzie wódka leje się strugami. Interwencje u prezesa GS nic nie pomagają, bowiem on sam i członkowie zarządu biorą udział w tych libacjach.

— *Dziś przeprowadzimy rajd antyalkoholowy* — oświadczył mi przewodniczący związków i Komitetu Przeciwalkoholowego w jednej osobie. *Zdemaskujemy tych pijusów i zaprowadzimy tam porządek. Sklep nie może być knajpą!* Zadzwonił do Prezydium PRN po samochód z kierowcą i za pół godziny byliśmy w Bedlnie. Kierownik sklepu na widok tow. *Banasiaka* zbladł. Czuł, że święci się coś niedobrego, a gdy dowiedział się o celu, w jakim tu przybyliśmy, zaczęły mu ręce latać.

— *Panie przewodniczący, jak Boga kocham, tu się wódki nie pije! To wredny donos, wiadomo jak to jest w handlu, człowiek ma wielu wrogów!*

— *Sprawdzimy* — odpowiedział spokojnie *Banasiak* — *obejrzymy zaplecze, magazyn, może tam się znajdzie jakiś barek?*

Wszystko jednak było w porządku. Produkty ułożone na regałach, magazyn z wódką zamknięty na kłódkę, nic nie wskazywało na to, by tu odbywały się tęgie popijawy. Przewodniczący nie dał jednak za wygraną. Myszkował po zapleczu i znalazł! Z triumfującą miną wyciągnął z regału półlitrową butelkę, odpieczętowaną, a w niej było jakieś trzy czwarte zawartości. Powąchał i podsunął pod nos kierownikowi.

— *A co to?* — zapytał — *butelka z czystą, ale już doprawiona!* Wódka rzeczywiście miała ładny, rubinowy kolor.

— *Panie przewodniczący, naprawdę nie wiem skąd to tu się wzięło, pierwszy raz to widzę!* — zawołał kierownik i widać było że zaskoczony jest tym odkryciem. — *Niemożliwe, aby to była wódka!*

— *Niemożliwe? Zaraz sprawdzimy!* — *Banasiak* wszedł do biura i po chwili wrócił z musztardówką. Nalał do niej odrobinę płynu, powąchał i wypił.

— *Niezła, wygląda na tarniówkę* — mówiąc to nalał szklankę prawie do pełna.

— *Spróbuj, posmakuj, jakie tu nalewki piją panowie handlowcy,* — podał mi napełnioną szklankę, a gdy odmówiłem, wypił ją jednym haustem. W tym momencie wbiegł do magazynu sprzedawca GS powiadomiony przez klientów o niespodziewanej kontroli. Kierownik dopadł do niego z krzykiem:

— *Co to jest! Skąd tu się znalazła odpieczętowana butelka z wódką! Powiedz coś!*

— *Panie kierowniku, ta butelka stoi tu od trzech miesięcy, zapomniałem ją wyrzucić!*

— *Jak to wyrzucić, dlaczego?* — zapytał kierownik.

— *Na imieniny pana kierownika, na Józefa, chcieliśmy po pracy wypić jednego, i pomyliłem się, zamiast doprawić ją sokiem wiśniowym, nalałem czerwonego atramentu z dużej butelki, ciemno było!* — odpowiedział z zażenowaniem młody ekspedient.

Parsknąłem śmiechem, ale przewodniczącemu nie było do śmiechu. Nic się nie odezwał, pokręcił jeszcze trochę po sklepie i dał hasło do odwrotu. Gdzieś w połowie drogi do Kutna kazał kierowcy zatrzymać się.

— *Muszę się załatwić po tym atramencie* — mruknął. Gdy stanęliśmy w życie, zwrócił się do mnie z uśmiechem: — *Wiesz Adam, mam teraz wrażenie, że trzymam w ręku wieczne pióro!*

I tak się zakończył nasz rajd antyalkoholowy.

Banasiaka bardzo interesowały warunki pracy załóg w zakładach na terenie całego powiatu. Wyżywał się na dyrektorach i społecznych inspektorach pracy, którym zarzucał, że za mało sporządzają wniosków o ukaranie kierowników odpowiedzialnych za warunki bhp. Któregoś dnia otrzymał sygnał, że źle się dzieje w tuczarni drobiu. Pracowały tam przeważnie kobiety, w bardzo złych warunkach, w błocie, a po pracy nie miały nawet gdzie się umyć. Była też skarga na brygadzistę, który obcesowo zachowywał się w stosunku do młodych dziewczyn. Jak mu zaloty nie wychodziły to szykanował je w pracy.

A więc kolejna konferencja prasowa tym razem na terenie tuczarni. Zebrała się cała załoga, kobiety ośmielone ostrym przemówieniem przewodniczącego, wygarnęły swoje żale. Kierownictwo się broniło, tłumacząc brakiem funduszów na modernizację, ów brygadzista, tuczarniany Don Juan, zaprzeczał brzydkim pomówieniom. Najlepiej świadczy o tym fakt, że w jego brygadzie wszystko gra jak w zegarku, a plany odstawy drobiu zawsze przekracza. Tu tow. *Banasiak* nie wytrzymał i palnął:

— *Nie cygańcie towarzyszu, my wiemy lepiej jak tu jest, nie bądźcie taki alfons i omega!*

Gdy wracaliśmy z tego zebrania zapytałem: — *Jasiu, nie rozumiem, dlaczego powiedziałeś alfons i omega? Mówi się alfa i omega, takie greckie powiedzenie!*

— *Nie bądź taki uczony,* — odpowiedział — *Słyszałem to powiedzenie jak byłem na szkoleniu w Warszawie, wykładowca je bardzo lubił. A tu mi bardzo pasowało. Kurwiarz, a mówi, że u niego wszystko gra jak w zegarku, czyli prawdziwy alfons i omega!*

I to był cały *Banasiak*. W każdym razie w tuczarni znalazły się pieniądze na wybudowanie łaźni, poprawę warunków bhp, a brygadzistę przeniesiono do innej pracy. Podobnie zresztą w innych zakładach. Związki nie czuły się tu bezradne, współrządziły i dbały o swych członków.

Skończyło się to wraz z odejściem tow. *Banasiaka* z PKZZ. A musiał odejść, bo po 1949 roku nastała w Kutnie nowa ekipa rządząca, do głosu doszli niektórzy dyrektorzy, którym dał się dobrze we znaki. Oskarżony został o prawicowo-dyktatorskie odchylenie i został usunięty z partii, dla której poświęcił najpiękniejszy okres swego życia i której ideały tak jak umiał wcielał w życie. Bolało go to, ale się nie załamał. Wrócił do swego zawodu, był maszynistą kolejowym.

Po kilku latach Komisja Kontroli Partyjnej ponownie rozpatrzyła jego sprawę. Został w pełni zrehabilitowany i zwrócono mu legitymację partyjną. Do pracy w związkach już nie wrócił. Wspominam go jako człowieka z Kutna, który tam się urodził, wychował, działał i znał życie

z międzywojnia

w rzeczywistości był to najważniejszy fragment polskiego dramatu rozgrywanego w okopach I wojny światowej. Bledną przy nim wszystkie przetargi i rozgrywki dyplomatyczne w sprawie polskiej, których ukoronowaniem był Wersal. W filmie **Poręby** zabrakło wiarygodnego bohatera z krwi i kości, z którym wspólnie widz mógłby przeżywać wydarzenia dziejowe. Zabrakło po prostu prywatności. Zastąpiła ją koturnowość, którą bez większych oporów przyjmujemy w telewizji, może dlatego, ze odbiór telewizyjny jest jakby mniej zobowiązujący, towarzyszy mu z reguły mniejsze skupienie.

Film **Ryszarda Filipskiego** „Zamach stanu" góruje pod tym względem nad filmem **Poręby**, choć jest zrobiony tą samą paradokumentalną manierą. I tu mamy do czynienia ze zbiorowym bohaterem. I tu próba rekonstrukcji wydarzeń historycznych przesłania efekty artystyczne **Filipskiego** paradoksalnie ocala jednak pewna nonszalancja, z jaką potraktował tworzywo, może dlatego że scenarzystą filmu nie był zawodowy historyk, tylko publicysta **Ryszard Gontarz**. W dniu gdańskiej prezentacji **„Zamachu stanu" Filipski** oświadczył:

„(...) myślę, że komentarze nie należą do mnie. Będzie ich niedługo sporo, bo film został już skierowany do rozpowszechnienia. Mogę tylko krótko zdefiniować: zasadniczy konflikt to konflikt między dyktaturą a parlamentem, między rządem autokratycznym a demokracją. I jeszcze jedno, wynika to chyba jasno z historii, a więc i z filmu. Wódz, który obraził się na naród, który uważa, że on jedynie ma patent na rację, a naród do walki nie dorósł, musi przegrać bez względu na mity, które istnieją lub zostaną wskrzeszone w przyszłości".

Filipski poszedł zresztą w swoich wynurzeniach jeszcze dalej dopatrując się w **„Zamachu stanu"** przesłania aktualnego:

„Wydaje mi się, że porównując tamte, nie tak dawne czasy z dzisiejszymi, wyraźnie widać jak urośliśmy jako naród w sensie świadomości obywatelskiej, w sensie poczucia odpowiedzialności za kraj. Dziś wiemy, że nie awanturą, nie pustymi hasłami, nie obietnicami bez pokrycia, lecz mądrym, rzetelnym dialogiem i uczciwą pracą możemy krajowi przywrócić spokój moralny tak wszystkim potrzebny."

Wszystko to niewątpliwie słuszne, choć nawet przy najlepszej woli trudno się mimo wszystko w **„Zamachu stanu"** dopatrzyć przesłania aktualnego. Film mówi przecież o zupełnie innych sprawach, stanowi swoiste epitafium dla systemu rządów parlamentarnych, jakie funkcjonowały w pierwszych latach odzyskania niepodległości, z nieustannymi przesileniami gabinetowymi, z koteriami partyjnymi, które sanacja zastąpiła własną dyktaturą. Mechanizmy te bardzo precyzyjnie i przekonywająco ukazał **Andrzej Garlicki** w monografii **„Przewrót majowy"**, która ukazała się nakładem „Czytelnika".

Film **Ryszarda Filipskiego** dzieli się na wyraźne dwie części, przy czym nie jest to podział tylko techniczny, podyktowany metrażem. W obu częściach mamy różne podejście do materii historycznej, a tym samym odmienność narracji. W **„Przewrocie"** Filipski stara się ukazać mechanizm przewrotu majowego z marszem oddziałów wiernych marszałkowi **Piłsudskiemu** na Warszawę i walkami bratobójczymi w stolicy. Próba wyjaśnienia tych dramatycznych wydarzeń jest, moim zdaniem, nieudana. Nie zamierzam przy tym czepiać się szczegółów, które z taką pasją wyrzucali **Filipskiemu** liczni polemiści, przypisując mu niekiedy wręcz niecne intencje. **Filipski** nie zapanował po prostu nad dramaturgią, stąd dokonany przez niego opis wydarzeń, mimo scenograficznego i kostiumologicznego pietyzmu, jest właściwie nijaki. A była tu przecież szansa zrobienia filmu prawdziwie politycznego, była szansa ukazania mechanizmu władzy poprzez wiwisekcję ośrodków dyspozycyjnych. Wyszły kalkomanie. Jest to widzenie raczej sierżanta kompanii uwikłanego w dramatyczne wypadki, niż przynajmniej szefa sztabu, który ma pełną świadomość rozgrywających się zdarzeń.

Część druga filmu **Filipskiego** zatytułowana **„Zamach"** pozbawiona jest już tego narracyjnego rozwichrzenia, bardziej zwarta i nośniejsza dramaturgicznie. Ukazuje atmosferę poprzedzającą aresztowanie przywódców opozycji parlamentarnej i przebieg wytoczonego im przez władze sanacyjne procesu, który w historii znany jest jako proces brzeski, od pierwotnego miejsca uwięzienia posłów, bo sądzono ich w Warszawie na przełomie lat 1931—1932.

Proces brzeski był właściwie dalekim już pogłosem przewrotu majowego; rozbrojenie parlamentu, po sejmowej legalizacji zamachu stanu, odbyło się wiele lat wcześniej poprzez tzw. nowelę sierpniową do konstytucji uprawniającą prezydenta do rozwiązania Sejmu i Senatu i dającą mu szerokie uprawnienia do wydawania dekretów. Z tą chwilą parlament stał się zaledwie dekoracją władzy wykonawczej, która nie musiała się liczyć z jego wolą. Proces brzeski był więc nie tyle likwidacją rządów sejmowych, ile próbą zastraszenia opozycji i umocnienia pozycji sanacji w społeczeństwie.

Przebieg procesu brzeskiego, dzięki nieugiętej postawie oskarżonych i ich obrońców, jest jakby gotowym scenariuszem do filmu czy też teatru faktu. Nic dziwnego, że druga część filmu **Filipskiego** trzyma w napięciu. Szkoda jednak, że reżyser nie wyszedł za te materiały procesowe. Wtedy może rzeczywiście moglibyśmy mówić o jakimś przesłaniu aktualnym. Mówienie o historii ma bowiem tylko wtedy sens, jeśli staje się ona autentycznie nauczycielką życia.

„Polonia restituta", film produkcji polskiej, zespół **„Profil"**, scenariusz Włodzimierz T. Kowalski, reżyseria Bohdan Poręba, zdjęcia Wacław Dybowski.
„Zamach stanu", film produkcji polskiej, zespół **„Profil"** i zespół **„Kraków"**, scenariusz Ryszard Gontarz, reżyseria Ryszard Filipski, zdjęcia Jacek Stachlewski.

Jeszcze kilka ROZBIEŻNOŚCI

Rozmowa nt. ustawy o cenzurze z posłanką na Sejm HALINĄ LATECKĄ

— Punkt 3 porozumień gdańskich przewidywał uchwalenie do 15 listopada ub. roku ustawy o cenzurze. Mamy początek lipca roku 1981 i, jak poinformowała prasa codzienna, udało się zaledwie dopracować redakcyjnie projekt ustawy o kontroli publikacji i widowisk. Czym została spowodowana ta zwłoka?

— Zwłoka spowodowana została przede wszystkim złożonością tematu. Ale myślę, że to do pewnego stopnia nawet dobrze, iż ustawa nie została uchwalona z trzymiesięcznym terminie, jak to przewidywała umowa gdańska. Świadomość społeczna dojrzewała na tyle, że wersja, jaka wpłynęła do Sejmu, może być korzystniejsza niż w listopadzie. O dziwo, na porozumienie i proponowane tam rozwiązania merytoryczne ustawy o cenzurze, najczęściej powoływał się były minister sprawiedliwości Jerzy Bafia.

— Korzystniejsza, to nie znaczy chyba doskonała. Które z uregulowań projektu uważa pani posel za niedostateczne?

— Moim zdaniem byłoby znacznie lepiej, ze społecznego punktu widzenia, gdyby decyzje głównego urzędu cenzury były zaskarżalne do sądu, gdyż sąd rozpoznaje sprawę pod względem merytorycznym i formalnym. Przyjęto zaskarżalność decyzji cenzury do Naczelnego Sądu Administracyjnego, który będzie się zajmował tylko badaniem ich legalności. Szereg posłów i kilka ośrodków naukowych, wśród nich Uniwersytet Warszawski, podnosiło tę kwestię w dyskusji, ale zostaliśmy przegłosowani.

— O ile mi wiadomo ta dyskusja to był właściwie cały ciąg posiedzeń?

— Tak. Już 27 listopada ub. roku odbyło się pierwsze posiedzenie połączonych komisji sejmowych wymiaru sprawiedliwości i prac ustawodawczych z uczestnictwem komisji kultury. Na posiedzeniu tym strona rządowa przedłożyła swoją wersję projektu. Jednocześnie dziennikarze wystąpili z własnym, społecznym projektem ustawy o kontroli prasy, publikacji i widowisk. Oba te projekty zamieściło obok siebie „Życie Warszawy", co niewątpliwie ułatwiło posłom ocenę obu rozwiązań.

— Z jakich przesłanek wychodził projekt rządowy?

— Art. 1 wersji rządowej stwierdzał, że publikacje korzystają z wolności słowa w celu urzeczywistnienia prawa obywateli PRL do korzystania z informacji, uczestniczenia w kontroli społecznej oraz korzystania z dorobku nauki i kultury. Wzbudziło to wiele wątpliwości. Posłowie stwierdzili, że art. 83 Konstytucji gwarantujący wolność słowa i druku nie stawia żadnych ograniczeń ze względu na cel.

— Jakie względy przesądziły o tym, że projekt rządowy spotkał się z taką poważną krytyką posłów?

— Posłowie podkreślali przede wszystkim, że patologia kontroli słowa doprowadziła do kryzysu i katastrofy gospodarczej w Polsce. Celem ustawy powinna być ochrona szeroko rozumianych interesów państwa, a więc jej uregulowania powinny chronić interesy narodu, a nie tylko określonych grup społecznych. A przy tym granice cenzury winny zyskać rzeczywistą akceptację całego społeczeństwa. Wszelkie odstępstwa od wolności słowa mogą być podyktowane bardzo ważnymi interesami narodowymi, co zresztą doskonale rozumieli autorzy porozumienia gdańskiego. A w porozumieniu chodziło o ochronę interesów państwa, ochronę tajemnicy państwowej i gospodarczej, uczuć religijnych a także uniemożliwienie rozpowszechniania treści szkodliwych obyczajowo. Trzeba stwierdzić, że również międzynarodowe prakty praw człowieka przewiduja w art 19 ograniczenie wolności słowa i wyrażania poglądów oraz opinii ze względu na poszanowanie praw i dobrego imienia innych osób, ochronę bezpieczeństwa państwowego, porządku publicznego oraz zdrowia lub moralności publicznej.

— Czy oznacza to, że projekt społeczny był doskonalszy? Przewidywał on znacznie mniej odstępstw od zasady wolności słowa...

— Posłowie podkreślali w dyskusjach, że musi istnieć większa swoboda wypowiedzi, ale i większa odpowiedzialność za słowo. Z tego punktu widzenia oba projekty ustawy, zarówno rządowy jak i społeczny, były dotknięte pewnymi wadami. W związku z tym strona rządowa zaproponowała powołanie specjalnej komisji składającej się z przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości i czynników społecznych, głównie „Solidarności", SDP oraz Komisji Porozumiewawczej Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych. I właśnie ta komisja opracowała nową wersję projektu. Zakończyła swoje prace w styczniu, ale nowy projekt nie prędko trafił do Sejmu może dlatego, że był to okres kolejnych napięć społecznych. W międzyczasie zmienił się także rząd.

— A kiedy skończył się okres, nazwijmy to, „leżakowania" nowego projektu? I jakie były jego dalsze losy?

— Pod koniec kwietnia odbyło się pierwsze posiedzenie specjalnie powołanej podkomisji sejmowej do spraw ustawy o kontroli publikacji i widowisk. Poszczególne komisje typowały do niej swych przedstawicieli, mogli się zgłosić do pracy także zainteresowani posłowie. W pracy aktywnie uczestniczyli posłowie-dziennikarze: Małcużyński, Osmańczyk, Stefański. Współpracował z komisją z ramienia SDP red. Moskwa, a z ramienia „Solidarności" doc. Lipski.

— Czym różnił się projekt ustawy od obu poprzednich?

— Był w moim odczuciu rozwiązaniem kompromisowym, ale chyba lepszym, niż oba poprzednie warianty. Przewidywał przy tym siedem rozwiązań alternatywnych, do decyzji komisji sejmowej. Strona społeczna domagała się ponadto wprowadzenia w ustawie przepisu zobowiązującego rząd do przedstawienia Sejmowi w określonym terminie projektu ustawy o prawie prasowym oraz o tajemnicy państwowej i gospodarczej.

— Czy mogłaby pani poseł bliżej scharakteryzować ten wariant kompromisowy projektu ustawy o cenzurze, nad którym pracowała komisja?

— W artykule 1 zawarto zasadę, że obywatele korzystają z wolności słowa i druku, a ponadto zobowiązano wszystkie organy władzy i instytucje państwowe do zagwarantowania wolności słowa. Uznano także, że korzystanie z wolności słowa może być ograniczone tylko ustawą o cenzurze.

W artykule 2 określony został przedmiotowy zakres granic wolności słowa. Ustawa, co trzeba podkreślić, reguluje w zasadzie kontrolę wstępną, a więc prewencyjną, ale przewiduje dość szeroki zakres wyłączeń obowiązku poddania się kontroli urzędu cenzorskiego.

Dalsze artykuły przewidują usytuowanie organizacyjne Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk, tryb postępowania tego urzędu, kwestię zaznaczania ingerencji cenzora oraz sankcje za uchylanie się od kontroli.

— Wspomniała pani, że projekt ustawy o cenzurze przedstawiony komisji sejmowej zawierał rozwiązania alternatywne. Czego dotyczyły rozbieżności między stroną rządową i społeczną?

— Rozbieżności najogólniej dotyczyły barier wolności słowa. Tak na przykład strona rządowa w ust. 2 art. 2 przewidziała sformułowanie, że nie wolno godzić w konstytucyjny ustrój PRL. Strona społeczna uważała, że jest to sformułowanie za szerokie i proponowała zastąpić je sformułowaniem: „nie wolno nawoływać do obalenia konstytucyjnego ustroju PRL". Uwzględnienie wersji rządowej mogłoby hamować wszelką krytykę, a nawet dyskusję nad porządkiem prawnym w naszym kraju i doprowadzić do zupełnego skostnienia, czy wręcz zamrożenia rozwoju prawa państwowego.

Do kategorii tych samych barier wolności słowa zaliczyć trzeba inne sformułowanie strony rządowej: „nie wolno godzić w sojusze i inne ważne interesy międzynarodowe PRL". Strona społeczna uważała, że wystarczający jest człon: „godzić w sojusze zawarte przez PRL", a przedmiotem krytyki było pojęcie ważnych interesów międzynarodowych, wyjątkowo nieostre i niekomunikatywne. Utrzymanie wersji rządowej mogłoby wręcz unicestwić publicystykę na tematy międzynarodowe ze szkodą dla świadomości społecznej w naszym kraju. Z niezasłużonej ochrony korzystał swego czasu w naszej prasie szach Iranu oraz dyktator Amin, ponieważ z ich krajami łączyły nas stosunki gospodarcze. Podobny przykład podał Edmund Osmańczyk, którego książka o Meksyku przez wiele lat nie mogła się u nas ukazać, ponieważ były w niej krytyczne akcenty. W tym samym czasie w Meksyku ukazało się wiele publikacji nie tylko krytycznych, ale wręcz zniesławiających nasz kraj. Na interwencje naszych przedstawicieli dyplomatycznych strona meksykańska twierdziła, że w myśl ich prawa brak jest podstaw do ingerencji.

— Przypominam sobie, że wiele namiętności wzbudziła sprawa podporządkowania głównego urzędu cenzorskiego Radzie Ministrów. Jak ostatecznie rozstrzygnięto ten problem?

— Kontrowersja dotyczyła usytuowania Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk w systemie władz. Według strony rządowej GUKPiW miał podlegać Radzie Ministrów, strona społeczna chciała podporządkować urząd cenzorski Sejmowi. Na poparcie swych argumentów strona rządowa przedstawiła racje typu systematycznego podnosząc, że cenzura jest organem władzy wykonawczej. Strona społeczna podnosiła zagadnienia celowościowe. Chodziło głównie o uniezależnienie cenzury od rządu, którego agendy powinny podlegać krytyce.

Komisja sejmowa stanęła na stanowisku, że GUKPiW nie może być podporządkowany rządowi. Dyskusja dotyczyła podporządkowania urzędu cenzury Sejmowi albo Radzie Państwa. Zwyciężył pogląd, że cenzurę należy podporządkować Radzie Państwa z tym, że według propozycji podkomisji przewidywano, iż prezesa Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk będzie powoływał Sejm. Ostatecznie jednak wycofano się z tego. Tak więc także prezesa GUKPiW będzie powoływała Rada Państwa.

— Jakich jeszcze kwestii dotyczyła dyskusja nad projektem ustawy o cenzurze?

— Spróbuję tu zrobić coś na kształt protokołu rozbieżności. Otóż projekt rządowy nie przewidywał możliwości zaznaczania ingerencji cenzury w tekście, natomiast projekt społeczny przewidywał taką możliwość. Następny sporny element to kwestia penalizacji za niepoddanie się kontroli wstępnej. Strona rządowa chciała potraktować taki czyn jako wykroczenie zagrożone karą 3 miesięcy aresztu i 5 tys. zł grzywny. Strona społeczna postulowała, aby uchylenie się od cenzury było zupełnie wolne od kary.

Projekt rządowy nie przewidywał żadnych sformułowań na temat debitu komunikacyjnego to jest zezwolenia władz na sprowadzanie wydawnictw zagranicznych. Strona społeczna wyszła z zasady wolności rozpowszechniania publikacji zagranicznych. Przewidywała, że wolność ta może być ograniczona warunkami wynikającymi z ust. 2 art. 2, a jednocześnie czyniła wyłom w tych ograniczeniach dla stowarzyszeń twórczych, bibliotek naukowych itd., a także dla osób, którym takie wydawnictwa są potrzebne dla celów naukowych czy twórczych. Strona społeczna przewidywała także zaskarżalność decyzji cenzury do sądu.

— Jak do tych wszystkich wariantów ustosunkowała się komisja sejmowa, która pracowała nad ostatecznym kształtem projektu ustawy?

— Warianty wzbudziły szeroką dyskusję i gorącą wymianę poglądów. W zasadzie propozycje podkomisji bliższe były propozycjom społecznym. Natomiast po przedstawieniu projektu połączonym komisjom sejmowym nastąpiło jednak zaostrzenie kryteriów kontroli wstępnej. Przyjęto rozwiązanie, że nie wolno godzić w podstawowe zasady ustroju wyrażone w Konstytucji PRL oraz konstytucyjne zasady polityki zagranicznej PRL i jej sojusze.

Na liście wyłączeń spod kontroli wstępnej znalazły się między innymi biuletyny i gazety związków zawodowych, przeznaczone dla ich członków. Było wiele polemik, bo strona rządowa uważała, że nie można robić żadnych enklaw. Ponadto Urząd Kontroli Prasy zademonstrował cały szereg publikacji jawnie naruszających art. 2 projektu. Przedstawiciel „Solidarności" doc. Lipski podnosił, że nie uwzględnienie propozycji strony społecznej może przyczynić się do nowych napięć. Po wielu debatach znaleziono wyjście kompromisowe tym bardziej, że przedstawiciel „Solidarności" zrezygnował z wyłączenia spod kontroli gazet i czasopism, zastrzegając wyłączenie spod kontroli jedynie biuletynów. Komisja wprowadziła dodatkowe kryterium zacieśniające pojęcie biuletynu. Zgodnie z tym kryterium biuletyn powinien zawierać informacje i poglądy na temat działalności statutowej przeznaczone do użytku wewnętrznego i rozprowadzane kanałami wewnętrznymi. Ze swej strony „Solidarność" zobowiązała się do kontrolowania w sposób wewnętrzny treści biuletynów, aby nie naruszać art. 2. Chodzi tu o czuwanie nad treścią, nie zaś o jakąś wewnętrzną cenzurę „Solidarności". Jednakże ostatecznie w projekcie znalazło się dodatkowe sformułowanie przewidujące możliwość czasowego poddawania biuletynów kontroli wstępnej, jeśli ich treści mogłyby budzić zastrzeżenia z punktu widzenia art. 2. To uregulowanie wywołało negatywną reakcję „Solidarności", o czym wspomniał w wywiadzie telewizyjnym Lech Wałęsa.

Komisja przyjęła, że uchylanie się od kontroli wstępnej cenzury zagrożone będzie grzywną do 10 tys. zł. A więc naruszenie ustawy traktowane będzie jako występek z czym łączą się określone skutki. Przede wszystkim sprawy takie rozpoznawać będą sądy. Można uznać, że komisja stanęła na stanowisku surowszej penalizacji niż przewidywał to pierwotny projekt rządowy, ale można na to spojrzeć z innej strony. Droga sądowa stwarza możliwość dwuinstancyjności, a tym samym większe możliwości obrony.

— Komisja nie pracowała w społecznej próżni. Wiadomo mi, że do Sejmu napłynęło cały szereg opinii od organizacji społecznych z argumentacją na rzecz konkretnych rozwiązań ustawodawczych. Czy można poprosić o parę uwag na ten temat?

— Rzeczywiście do Sejmu napływały liczne opinie społeczne i wypowiedzi, a także kilka opracowań placówek naukowych. Wśród nich opinia Prezydium PAN, Instytutu Państwa i Prawa PAN, Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" Uniwersytetu Jagiellońskiego. Swoje opinie nadesłały także zarządy główne ZLP i SDP oraz Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza. Miło mi odnotować cały szereg opinii z Łodzi. Do Sejmu wpłynęła uchwała zarządu oddziału SDP, zarządu Stowarzyszenia Twórców Kultury, Stowarzyszenia Adwokatów i Aplikantów. Wypowiedziały się na ten temat na piśmie także: Koło Uczelniane SD przy Uniwersytecie Łódzkim, Niezależne Zrzeszenie Studentów przy Akademii Medycznej w Łodzi oraz NSZZ „Solidarność" z „Wifamy". Wszystkie te głosy bardzo nam pomogły w wyrobieniu sobie właściwego poglądu na całokształt projektu ustawy.

— A co z prawem prasowym?

— Komisje stanęły na stanowisku, że nie można zobowiązywać rządu ustawą do wydania innej ustawy i że tę kwestię może rozwiązać rezolucja Sejmu obligująca Radę Ministrów do opracowania ustaw o ochronie tajemnicy państwowej i gospodarczej, a także prawa prasowego w ciągu 6 miesięcy od wejścia w życie ustawy o cenzurze. Ustawa ta powinna wejść w życie 1 września br., ale to jeszcze nic pewnego, gdyż ostatnio związki zawodowe sprzeciwiły się poddawaniu biuletynów kontroli wstępnej i być może uchwalenie ustawy ulegnie dalszemu odłożeniu. I żeby wyczerpać sprawę dodam jeszcze, że cały szereg rezolucji postulowało przedstawienie nowego projektu prawa autorskiego jako integralnie związanego z prawem prasowym i ustawą o cenzurze.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Foto: R:. Łucyszyn

HALINA LATECKA: „Świadomość społeczna dojrzewała na tyle, że wersja jaka wpłynęła do Sejmu może być korzystniejsza, niż w listopadzie".

LISTY DO REDAKCJI

„KRAJOBRAZ PO SESJI"

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W „Odgłosach" nr 25 z dnia 21.VI.1981 r. w artykule „Krajobraz po sesji" poruszył Pan problem, który bulwersuje mieszkańców Zduńskiej Woli. Prawdą jest, że konflikt Sieradz — Zduńska Wola trwa już od dawien dawna, (nie tylko na niwie sportowej) ale prawdą jest też, że znaczny wzrost tego konfliktu nastąpił od 1975 r., a więc od momentu objęcia władzy nad Zduńską Wolą przez naczelną administrację nowo powstałego województwa sieradzkiego. Niektórzy optymiści twierdzą, że obecny konflikt został złagodzony na wspólnych sesjach Rady Narodowej naszego miasta i władz wojewódzkich. Załatwiono tu co prawda kilka nabrzmiałych spraw będących wynikiem rażących zaniedbań ze strony władz wojewódzkich. Załatwiono je w atmosferze zdecydowanej i nieustępliwej postawy zduńskowolskich radnych, wobec oporów owych władz. Owi optymiści (niektórzy przedstawiciele władz miejskich) twierdzą również, że obecne napięcie jest czynnikiem przejściowym i że spowodowane było tym, że Sieradz jako stolica województwa nie był i w dalszym ciągu nie jest przygotowany do przyjęcia tej funkcji pod żadnym względem. Należy więc sprawę ratować. Decyzje wyboru na siedzibę władz wojewódzkich Sieradza, argumentuje się... pochodzeniem historycznym. Dlaczego więc zasada ta pominęła Gniezno, Sandomierz, Łęczycę i inne bardziej znaczące historycznie miasta Polski. Nie jest to zresztą jedyny błąd nowego podziału administracyjnego Polski który w konsekwencji pochłania ogromne sumy pieniędzy. Ambicjonalne ciągotki władz nowo powstałego województwa oraz szał nadgorliwości sieradzkich działaczy, postawiły sobie więc za cel błyskawiczne zbudowanie metropolii cała gęba, na miejscu istniejącego grajdołka. Stąd też ta budowlana gigantomania oraz sztuczne powiększanie obszarów miasta składających się z wielu tysięcy uprawnych hektarów. Przeznaczono na te cele ogromne sumy z budżetu wojewódzkiego. Nie starczyło więc w tym układzie pieniędzy na problemy zduńskowolskie. Miasto w rozwoju stanęło. Ponadto odebrano miastu tak potrzebne przedsiębiorstwa jak Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane, Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, Miejskie Przedsiębiorstwo Budowy Dróg i Mostów, Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji itp. Takie praktyki wzniecają konflikty, ale w tym przypadku nie są ich źródłami.

Społeczeństwo naszego miasta przyczynę wzrostu napięcia dostrzega jednak gdzie indziej. Tkwi ona w fakcie przyłączenia Zduńskiej Woli do Sieradza zamiast do Łodzi!!

W świadomości społeczeństwa naszego miasta dominuje jednoznaczna opinia, że Zduńska Wola swój rodowód zawdzięcza Łodzi, bo z niej pochodzi. Półtorawieczny rozwój Zduńskiej Woli ma ścisły związek z tym miastem. Zduńska Wola, tak jak Pabianice czy Zgierz stanowi od samego początku łódzką rodzinę. Wysoko rozwinięty przemysł naszego miasta jest bez wątpienia integralną częścią tamtego przemysłu. Tak było dawniej i jest dzisiaj. Wszystkie jednostki nadrzędne zduńskowolskiego przemysłu, centrale, instytuty i instytucje, mające związek z tym przemysłem znajdują się w Łodzi. Trudno więc pogodzić się z manewrem nieprzemyślanej decyzji oderwania naszego miasta od Łodzi, która traktowana była i jest przez zduńskowolan jako macierzysty organ swego miasta, i której zawdzięcza narodziny i egzystencję. Te właśnie uczucia zrodziły niezadowolenie z obecnego podziału. Niektóre opinie, że Zduńska Wola w aglomeracji łódzkiej byłaby nikim są zupełnie bezpodstawne, to Sieradz zrobił ją nikim. Są tego jaskrawe dowody. Należy sobie tylko życzyć, aby Zduńska Wola rozwijała się tak jak Pabianice, Zgierz czy inne miasta wchodzące w skład administracji łódzkiej. Zduńska Wola chce znowu należeć do Łodzi! W toczących się obecnie dyskusjach na tematy reformy gospodarczej, coraz częściej porusza się sprawę konieczności przeprowadzenia korekty obecnego podziału administracyjnego Polski.

Samą ideę nowego podziału uważam za słuszną, ale praktyczna strona jego przeprowadzenia posiada, jak się okazuje, dużo nieprawidłowości. Często wspomina się również o niekorzystnym określeniu województwa łódzkiego. Temat ten porusza m.in. „Głos Robotniczy" z dnia 24.VI.81 w artykule pt. „Strefa żywicielska Łodzi". Za koniecznością przeprowadzenia korekty przemawiają w tym przypadku aspekty wyżywieniowe miasta.

Rozsądek nakazuje zatem, ażeby zachodnie granice województwa łódzkiego sięgały do rzeki Warty, co załatwiłoby sprawę Zduńskiej Woli oraz odzyskanie terenów rolniczych, a więc wyżywienia Łodzi. Satysfakcja dla Łodzi i Zduńskiej Woli. Zaznaczam, że dotyczyłoby to tylko spraw granic zachodnich województwa łódzkiego.

Sądzę, że taka korekta nie pociągnie za sobą większych kosztów, a korzyści z niej wynikające — znaczne.

Wydaje się więc, że sprawy te powinny być jak najszybciej przedstawione rządowi celem ich ostatecznego rozstrzygnięcia i rozładowania społecznych napięć tego regionu.

Zastanawiam się dlaczego w prasie lokalnej (Głos Robotniczy) te nurtujące nasze społeczeństwo sprawy są przedstawiane w formie fragmentarycznej, jak gdyby od niechcenia. Komu ten temat jest niewygodny?

CZYTELNIK
„ODGŁOSÓW"

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

POEMAT MELANCHOLIJNY

Nie wiem, do czego jesteśmy stworzeni,
więc o cierpieniu już nawet nie wspomnę,
i ani słowa o śmierci.
Samotność znamy wszyscy nazbyt dobrze,
lęki przed sobą, lęki przed innymi.
Codzienność każdy ma osobną,
bo to zależy od obrazu świata,
jaki nas dręczy,
świata, tego samego dla wszystkich,
wzbronionego wszystkim.

Wśród pomników istnienia i śmierci,
mali i cisi,
głusi i ślepi,
cóż wiemy o sobie samych,
okradani w każdej chwili
z naszych prawdziwych oblicz,
których dlatego nigdy nie mamy,
z naszych celów prawdziwych,
które gubimy na tylu rozstajach,
z naszej prawdziwej przeszłości,
o której nic nie wiemy na pewno,
a więc tym bardziej z przyszłości,
o której śnić się boimy.

Nie wiem, do czego jesteśmy stworzeni.
Już zapomniałem o tym, jak brzmi człowiek,
o którym wiem, że za nic
ma moje osobiste dramaty,
moje życie,
kto wie, czy na mojej śmierci mu tylko nie zależy,
albo nawet nie...

Bóg, jeśli to on ten świat stworzył,
jest tym, który upokorzył mnie najbardziej.
Więc przychylam się do hipotez
o fizycznej reakcji,
sensacji kosmicznej,
bo łatwiej jest wybaczyć materii.

Nie bluźnię,
nie myśl sobie
Ty, którego nie śmiem już nawet prosić,
byś nie stawał się Bogiem
i nie pozostawiał mnie w mojej samotności,
w moim upokorzeniu,
w moim strachu przed Tobą,
w mojej bezduszności której sam sobie jesteś winien,
w mojej miłości do ciebie, na którą zawsze
możesz sobie zasłużyć,
w braku wiary w nas obu.

Gdybyś jednak posłuchał mnie,
znalazłbyś może drogę
do mnie
i zrozumiał po co tu wszyscy jesteśmy,
i powiedział mi o tym,
wybawiając mnie.

MIROSŁAW MIESZCZANKOWSKI

MYŚLI

Pan N powiedział: — *Ilość zdarzających się pytań dowodzi rozwoju. Pytania bowiem w końcu znajdują odpowiedzi. Pytania których nie postawiono, odpowiedzi nie znajdują. Efektem rozwoju jest odpowiedź.*

Usłyszawszy jakoby politycy byli niemoralni z konieczności, pan N rzekł: — *Polityk jest jak wytrawny pokerzysta, dla którego na frak i pulę wejściową do casino złożyło się bardzo wielu biednych ludzi. Oddali oni ostatnie grosze by zapewnić mu miejsce przy stoliku miliarderów. On zaś zapewnił ich słowem honoru, że wygra dla nich pieniądze na chleb. Czyż byłby moralny wracając z pustymi rękami, przegrawszy w najzupełniej uczciwej grze i pulę i frak dla tego tylko, że nie szła mu karta? Uczciwość, tak bardzo przecież chwalebna, jest chwalebna, kiedy gra się własnymi pieniędzmi. Oczywiście, można nie siadać do tego stolika. Lecz jeśli jest się najlepszym graczem wśród tych ludzi i wie się, że jest się najlepszym, bo grywało się z nimi już wcześniej, to taka postawa jest jeszcze bardziej nieuczciwa — zakończył surowo pan N.*

Placet na powiedzenie kilku mądrych rzeczy zdobywa się afirmacją bardzo wielu bzdur.

Mogę wyobrazić sobie, że dwaj serdeczni przyjaciele spotkawszy się w czasie wojny jako przedstawiciele wrogich służb wywiadowczych, pijąc przez całą noc wino, nie zadadzą sobie wzajem ani jednego pytania o charakterze wojskowym. Sytuacja taka nie jest możliwa tylko dla większości ludzi — mówił pan N.

Pan N powiedział kiedyś: — *Między prawdą a chlebem, to ledwie cztery słowa. Te cztery słowa to tytuł książki i jako takie są one dla wielu nieważne, lecz te cztery słowa, to zarazem dzieło samo w sobie. To „Nobel" za lapidarność stylu i syntezę ludzkich spraw. To zarazem opowieść historyczna i socjologiczna o człowieku społecznym i indywidualnym, przeraźliwa i przerażająca odwiecznym rozdarciem między prawdą a chlebem. I jeśli miałbym ludziom z innych galaktyk odpowiedzieć na pytanie jak biegło i biegnie to nasze ludzkie życie, to nie mówiłbym przecież o placach, kopcowanych ziemniakach, armatach z zamkami odwodzonymi przez cztery pary wołów, albo przez urządzenia elektroniczne, ani o tym co na którym wiecu wywrzeszczał wiecowy wrzeszczenieSokrates.* I jeśli komputer mógłby przetłumaczyć tylko kilka słów, ludziom z innych galaktyk na pytanie jak biegło i biegnie to nasze ludzkie życie, odpowiedziałbym tylko: między prawdą a chlebem. A jeśli komputer przed ostatecznym wyczerpaniem baterii mógłby przetłumaczyć jeszcze kilka, tym razem ostatnich słów, rzekłbym: Nigdy nie stało prawdy więc i chleba nie stało.

Sens ścisłego oprogramowania prasy jest dokładnie taki sam jak sens ustawienia strzałki sejsmografu na określonej cyfrze na stałe...

ZENON DUNAJCZYK

UKŁAD POZORÓW

Leżę teraz w małym pokoiku, oblepiony duszną, szarą ciemnością. Tutaj nawet noc nie jest czarna. Wszystko jest zamazane, nie ostre i każdy szczegół ma jeszcze swoje boczne światło, swoje dodatki, uzupełnienia, rozgałęzienia i pokrętności, jakąś latarnię i odblask neonu za oknem. Obraz układa się jak na ekranie telewizora; w całości, pomniejszony, podobny jest do zaciśniętej pięści, dopiero migawkowe ujęcia, zbliżenia nizane na sznureczek pamięci, wyobraźni dają pojęcie o pełni. Z takich właśnie okruchów, pęknięć i błysków jeszcze raz składam w myślach obraz minionego dnia. I to, mimo ogromnego zmęczenia, nie pozwala mi zasnąć. Przewracam się z boku na bok na pojękującej jakąś jedną obluzowaną sprężyną leżance i chwilami wydaje mi się, że pod gołym tyłkiem mam rozesłany gruboziarnisty papier ścierny, a nie świeże, pachnące czystością lniane prześcieradło. W przerwach, gdy po akustycznych ścianach bloku przestają łazić bulgotania, syczenia, dzwonienia, skrzypienia dolatuje aż tutaj dalekie buczenie syren okrętowych. Widocznie normalną pracę portu utrudnia mgła.

Po raz nie wiedzieć który powtarzam w myśli te same dialogi, przetrawiam słowa wypowiedziane tak niedawno przez brata, bratową... Widzę ich siedzących przy stole w najlepszej komitywie, zażyłości. Na oko nic nie mąci lustra wody. Jest tak jak dwa, trzy, pięć lat temu, kiedy przyjeżdżali na wieś w odwiedziny. Nosiło ich po całej Polsce, nigdzie miejsca nie mogli zagrzać, ale o nas pamiętali. Brat wtedy zwykł mówić, że wraca do rodzinnego domu po nowe siły. Ale jakoś w tym domu swojego miejsca nie widział. Mizernie i żałośnie wyglądał w opiętych garniturkach, na pół uduszony pętlą krawata. Jego atletyczne ciało aż kipiało i wyłaziło z uniformu, który miał mu nadać szyku i elegancji, uciekało od tych ściskających i trzymających na sztywnej uwięzi hołobli, narzuconych jakby przypadkiem i przez pomylenie. Aż trudno uwierzyć, że ten pięknie zbudowany chłopak, przewracający za jednym zamachem naładowaną po czubki przyczepę, będący postrachem chuliganów na wiejskich zabawach, cieszący się poważaniem i szacunkiem okolicznych gospodarzy, zaskakujący pomysłami i inicjatywami, chłopak, który mógł położyć sobie u stóp całą wieś, w dziewczynach przebierać jak w ulęgałkach, wżenić się w każde gospodarstwo, ze swojej wiedzy i siły uczynić źródło kwitnącego urodzaju, podporządkować sobie wszystkie dobre wiatry, teraz łazi ociężale — jak utuczony do zarżnięcia warchlak — po placu tej pożal się Boże bazy remontowej, zrobiwszy uprzednio w systemie zaocznym tytuł technika mechanika. I żeby chociaż, skoro już osiedlił się na stałe w porcie, budował okręty, albo łowił ryby, jednym słowem robił to, czego na wsi nie można i korzystał przy tym z wrażeń, których wieś mu nie jest w stanie dostarczyć, ale nie, śrubki odkręca i w bebechach maszynom drogowym grzebie, albo drugich do tego nagania, życie temu upartemu żelastwu przywraca, żeby nam mogło całą ziemię zabetonować i asfaltem pokryć, tak jakby u nas na wsi nie mógł dorobić się luksusowego mieszkania, samochodu i mebli na wysoki połysk. Już minął ten czas, kiedy mu wierzyłem, że tylko miasto jest dla ludzi rzutkich i mądrych, i że jedynie ono stwarza odpowiednie warunki do wybicia się, zrobienia kariery i pieniędzy, a wieś była, jest i pozostanie terenem dla garbatych umysłowo i fizycznie, to znaczy niegłupich i silnych tylko w jedną stronę — pod górkę. Czułem instynktownie, że bratu potrzebne było budowanie takiej wiedzy nie po to, żeby wyprowadzić w pole wieś, do której ja powoli dojrzewałem i przysychałem mocno całym sobą, ale żeby oszukać miasto, w którym on był ciągle jeszcze po wierzchu, ledwo obmyty z pielgrzymiego kurzu.

Już sam mój przyjazd do tego miasta wypadł niezbyt fortunnie. Pociąg się spóźnił i zamiast wcześnie rano, dobiłem na miejsce w czasie, który dla mnie był martwy, albowiem brat z bratową zapewne dawno już wyszli do pracy, a ich dziewięcioletni syn do szkoły. Zwykle dopasowywałem swoje odwiedziny do jakichś świąt lub wolnych sobót, z odpowiednim uprzedzeniem, ale tym razem postanowiłem wyłamać się z utartego schematu, i jak na początek z nie najlepszym rezultatem. Do tego zaczynał siąpić dokuczliwy kapuśniaczek i wałęsanie się po mieście przez kilka godzin po nocy spędzonej w ścisku i zaduchu wagonowego korytarza, nie wchodziło w rachubę. Wysiadywanie na dworcu wydawało się równie mało zachęcającą perspektywą. Postanowiłem więc z nikłą iskierką nadziei w sercu sprawdzić, czy aby przypadkiem się nie mylę. Ale nie, moje przewidywania okazały się trafne. Drzwi były zamknięte na głucho i natarczywe dzwonienie nie powodowało żadnego odzewu. Wtedy pomyślałem, że może przyjdzie mi tu zapuścić korzenie, bo przecież nie miałem najmniejszej pewności, czy w ogóle ktoś jest w domu, czy przypadkiem brat nie załadował rodziny do samochodu i nie wyskoczył gdzieś na dłużej. Wszak byli jeszcze na etapie przyzwyczajania się do dobrodziejstwa zmotoryzowanego inwentarza i nie mogło ich to już nie cieszyć, a zwolnienie syna na dzień, czy dwa ze szkoły, w której rzekomo od pierwszej klasy wyróżniał się dobrą nauką i wychowaniem, nie stanowiło chyba większego problemu.

Brat przywołany do portierni zrobił wielkie oczy, zapytał ze zdenerwowaniem w głosie, czy się co nie stało, a następnie uspokojony porwał mnie w ogromne i otwarte jak brama ramiona.

— To moje gospodarstwo — wskazał przez okno na zadeszczony i pokryty rdzewiejącym żelastwem plac, zamknięty w głębi nowoczesną, przeszkloną halą. — Muszę ci kiedyś to wszystko dokładnie pokazać, a tymczasem masz tutaj klucz i wracaj do domu. Jesteś zmęczony, więc odpocznij sobie trochę.

Teraz, gdy tak leżę w nocy i ponownie przewijam szpulę pamięci, każdy szczegół zajmuje mnie z niewiele mniejszą uwagą, niż wtedy, w momencie stawania się, nabierania barwy i smaku. Na przykład ten niespodziewany widok z okna pokoju na rozległe osiedle, które w czasie mojego pierwszego pobytu tutaj, przed ponad dwoma laty, zaledwie się rysowało, jeszcze bezkształtne, niesamowicie rozgrzebane, a dziś, nawet w deszczu, oglądane z wysokości czwartego piętra z wdziękiem ujawniało swój rozmach i urodę. Albo to dokuczliwe dzwonienie, prowadzące mnie przez sen aż do pokoju, w którym leżałem rozzuty z kamaszy, rozebrany z płaszcza, przykryty zdjętą z siebie marynarką, uważnie śledzący stojącego w otwartych drzwiach intruza. Wciąż jeszcze czuję tamto duszne, męczące pragnienie poznania, kim on jest i skąd się wziął, i zarazem strach, że się nie przebudzę i nigdy nie zaspokoję swojej ciekawości, a potem przerażenie, że ja już przecież nie śpię i to, co widzę, istnieje naprawdę, namacalnie, i że z tego już się nie ocknę, bo nie można się zbudzić z rzeczywistości. Patrzę więc na faceta, który nie jest moim bratem i z równym zaskoczeniem i niepokojem mnie się przygląda, a może nawet także rozważa, czy przypadkiem ja się jemu nie przyśniłem. Nie spuszczam z niego czujnego wzroku, przenikany powoli cierpkim dreszczem emocji i gotowością do zaskakującego ataku, który powinien mi zapewnić przewagę. Jeszcze teraz pod tym ponownie wywołanym wrażeniem przewracam się gwałtownie na drugi bok aż dźwięczy w leżance ta cholerna sprężyna.

Nie potrafiłbym obecnie ocenić, ile sekund, czy minut trwał wtedy ów stan napięcia, ale chyba dostatecznie długo, żeby wyzwolić we mnie wystarczający zasób energii potrzebnej do obezwładnienia znajdującego się w pokoju, a właściwie stojącego ciągle w jego drzwiach, osobnika. Wprawdzie daleko mi do budzącego respekt wyglądu brata, jak równinie do góry, ale swoją krepę mam i gdy już raz chwycę kogoś za kark, nie ma u mnie żadnych szans. Toteż po wstępnym i krótkim szamotaniu gość zwiotczał mi w garści i spotulniał jak przysłowiowy baranek.

— Po obcych mieszkaniach zachciewa ci się, sukinsynu, buszować i łatwego zarobku szukać! — wyrzuciłem z siebie wzburzony. — Słyszałem jak najpierw kilka razy przycisnąłeś dzwonek, aby upewnić się, że nikogo nie ma, a potem otworzyłeś wytrychem mieszkanie! — mówiłem, nie zastanawiając się, czy owo dzwonienie, to był jeszcze sen, czy już najbardziej normalna jawa.

Spuściłem nieco z tonu, gdy otworzył dłoń i zobaczyłem w niej klucz z mosiężną blaszką, podobną do tej, jaką posiadał ten wciśnięty mi rano bratową ręką, którego nie mogłem zgubić, zostawić w zamku, ani stracić w jakiś inny sposób, bo nadal tkwił pod bieżnikiem na stole, dokładnie tam, gdzie po położyłem i wzdymał lekko powłokę wyszywanego materiału. Pomyślałem wtedy, że być może całe to zdarzenie nie jest takie proste, jak mi się początkowo zdawało i że byłoby z mojej strony rozsądniej, gdybym zachował większy umiar i nie zapominał, gdzie się znajduję, we władaniu jakich mocy jestem, zdala od własnego miejsca i zrozumiałej dla siebie przestrzeni. Przeto już spokojniej, ale nadal z wyraźną nutą podejrzliwości w głosie, rzekłem:

— Skąd pan ma ten klucz?

Nie zdążyłem już jednak otrzymać odpowiedzi, bo przybycie brata skutecznie temu przeszkodziło i zakończyło sprawę szybciej, niż się mogłem spodziewać, a moje chaotyczne wyjaśnienia i usprawiedliwienia, jakbym to właśnie ja był do tego najbardziej zobowiązany, kontynuowane jeszcze po wyjściu tamtego, zostały zbyte krótko.

— Daj spokój. Nie ma problemu. Wiem kim jest ten facet. To po prostu przyjaciel mojej żony i skoro miał klucz, widocznie tutaj się z nim umówiła.

No tak, komu innemu może by to wystarczyło, ale ja nie dałem za wygraną, chociaż czułem, że teren jest naprawdę grząski.

— Jak to? — spytałem zaintrygowany. — Przyjaciel żony, posiadający klucz do mieszkania i przychodzący na spotkania z nią podczas twojej nieobecności? Nie rozumiem?

I na samo przypomnienie jego zachowania, gwałtownej i kłótliwej szczerości, po raz wtóry rozłazi się po moim ciele pulsujące gorąco.

— Nie domyślasz się, co w tej sytuacji znaczy słowo przyjaciel? — wyrzucił z siebie zdenerwowany. — A gach! A kochanek! To rozumiesz? To ci wystarczy?

— Ale przecież tu chodzi o twój dom, rodzinę, honor. — Byłem wstrząśnięty, zupełnie wytrącony z równowagi, a mój głos brzmiał głucho, jakby go co przygniotło. — Pamiętasz jak u nas na wsi postąpił Kazik Nestoruk, gdy zastał gacha u swojej baby? Tak mu po łbie antypką przeciągnął, że już ani jedna klepka nie wróciła na swoje miejsce. A baba szybko się opamiętała i obowiązków zaczęła pilnować.

— Co ty mi tutaj, ni przypiął ni przyłatał, z Kazikiem wyjeżdżasz! To przykład w ogóle nie z tej parafii! Kazik miał prawo swojej przyłożyć, bo go oszukała, natomiast w przypadku mojej, jeśli nawet ciut przesadziła, nic takiego nie wchodzi w rachubę! — Zrobił przerwę, ale nie po to, żebym mu się wciskał z jakimś nartęctwem, czy uwagami i dał mi to odczuć, a potem jakby już trochę uspokojony ciągnął dalej. — Widzisz, moje małżeństwo to tylko czysta forma bez treści. Dawno już z niego wyparowała wszelka zawartość i stało się to niepostrzeżenie, rozłożyło w latach, rozmieniło w drobiazgach, i ani tu kogo winić, ani się do kogo przyczepić, a o naprawieniu czegoś też nie ma mowy i nawet nikomu na tym nie zależy, bo każde z nas wykształciło w sobie nowe nawyki i przyzwyczajenia wynikające już ze zmienionego stanu rzeczy, z układów i umów, jakie między nami zostały zawiązane, a mianowicie, że nawzajem nie będziemy sobie przeszkadzać i interesować się swoim życiem prywatnym. Pozostaliśmy więc przyjaciółmi, których oprócz sporego kawałka czasu spędzonego razem i mieszkania, łączy chyba największa wspólna wartość — dziecko, jego dobro. I to wszystko sobie wyjaśniliśmy, przełożyliśmy nad nasze własne egoizmy, wady i niemożność zawrócenia do punktu wyjścia, a reszta jest już tylko fasadą, zwykłą, na którą rodzice i ty daliście się nabrać. Nic nie poradzę jeżeli to cię tak mocno zaskoczyło. Na razie jest jak jest i nie będzie inaczej. Przypadek jedynie sprawił, że odkryłem się przed tobą tak otwarcie i bez zastrzeżeń. Teraz sam widzisz, że z tą wiedzą wcale nie będzie nam ze sobą łatwiej, a w każdym razie nie jak dawniej. — Przygasł i ścichł zupełnie, a po sekundzie, jakby jeszcze oglądając się za siebie i zagadując, odgarniając cokolwiek przyciężkawe i kłopotliwe milczenie, dodał z nieudawanym zdziwieniem: — Ale właściwie my wciąż stoimy, usiądźmy, bo inaczej cały rozum spłynie nam w pięty.

Brat najwyraźniej dodmuchiwał mnie, jak detkę, zepsutym powietrzem i żeby gwałtownie nie pęknąć, musiałem go jednak powstrzymać, zastopować.

— Nie wymagaj ode mnie, abym od razu za wiele rozumiał, bo między Bogiem a prawdą, ja dopiero teraz nie wiem jak wy tutaj żyjecie, a jeśli dotąd przypuszczałem, że wiem, to raczej z nawyku, z mówienia i pamiętania, jak to jest, jak to ma być i do czego pasować, że ta rzecz jest taka i jest tym, że ta rzecz stoi tu i znaczy to. Z mojego krzesła widać inaczej, niż z twojego i gdybyśmy nawet się przesiedli, ba, oddzielili ścianą, to i tak zaraz pójdzie za mną cały ten bagaż, którego nie można zostawić za drzwiami ani zatrzasnąć w windzie, bo przeniknie dziurką od klucza, przejdzie szparą w podłodze, wpadnie wietrznikiem i diabli wiedzą czym jeszcze, a ręką ruszysz — zawiśnie przy niej, oko otworzysz — wzrok zatka, myśli spróbujesz oddzielić — zadzwoni wszystkimi rupieciami w środku i zagłuszy.

W którymś momencie odniosłem wrażenie, że brat chce mi przerwać, ale widocznie było to tylko złudzenie, bo nawet gdy zamilkłem, siedział bez ruchu i nie odzywał się ani słowem. Oto człowiek — myślałem — który tkwi w krześle naprzeciwko mnie, słucha, patrzy i w duchu cieszy się, albo przeklina dzisiejszą wizytę, a jednocześnie jest w bazie i pracuje, który żyje w małżeństwie, ale nie ma żony; mieszka w wielopiętrowym mrowisku ludzkim, lecz nie zna ani jednego sąsiada. I to jest mój wspaniały brat, wyrobiony jak ciasto w dzieży i wypieczony w wiejskim sabatniku, przepływający niespokojną rzekę za wsią kilkoma pociągnięciami ramion, potrafiący lepiej od pomowskich mechaników naprawić traktor z własnego, a nie jakiegoś wyuczonego w szkołach umienia, zaskakujący swoją innością, sięgający obecnie wyżyn wręcz niezrozumiałych.

I tak w zmiennych rytmach obraca mi się w głowie ta niezmordowana szpula pamięci, podrzuca wciąż nowe obrazy, nakłada je na siebie, zatrzymuje się przy wybranych wątkach, jakby sterowana niezależną ode mnie wolą, rozrywa i rozmiata wszelkie, najpłochliwsze nawet, zalążki snu.

A tymczasem do pokoju, w którym leżę zaczynają powoli docierać pierwsze odgłosy autobusów; mieszają się z dalekimi buczkami statków i czynią ciszę jeszcze bardziej mętną. Staram się nie zmieniać pozycji, aby nie drażnić obluzowanej sprężyny i nie wywoływać jej denerwujących pojękiwań. Ale w mojej głowie, jak w leżance, coraz częściej odzywa się jakaś jedna alarmująca myśl, tak jakby właśnie coś ją bez przerwy potrącało, ugniatało i nie dawało spokoju. Wsłuchuję się w jej obecność, ciągle natrętniejszą, ostrzejszą i pełniejszą, ale zarazem ruchomą, elastyczną, umykającą, wabiącą i zwodzącą, wciąż obiecującą i przyciągającą i kiedy już, już mam ją dopaść, uchwycić, ogarnąć, spada na mnie nagle gruba, ciemna, miękka, długo oczekiwana zasłona, słuchania, myślenia, rozumienia wszystko ucieka, jak za dotknięciem tajemniczej laseczki magika.

BEZNADZIEJNIE
czyli festiwal piosenki w Opolu

Od ponad dwóch miesięcy mówiło się o tegorocznym festiwalu opolskim, że ma być inny od dotychczasowych, nie tylko dlatego, iż głównym organizatorem jest Towarzystwo Przyjaciół Opola, lecz przede wszystkim z uwagi na twórcze podejście do tego przedsięwzięcia specjalnie powołanej Rady Artystyczno-Programowej pod przewodnictwem Jacka Korczakowskiego. Ponieważ nie zdarzyło mi się od paru lat napisać naprawdę pozytywnej recenzji z Opola (gwoli ścisłości: kilka takich elementów zawierała relacja ubiegłoroczna) i pozostawało to zawsze w zgodzie z moim sumieniem, pojechałem do stolicy polskiej piosenki — podobnie, jak i wielu innych obserwatorów — z niekłamaną ciekawością.

Już na miejscu dowiedzieliśmy się, że zaistniało sporo kłopotów w czasie organizowania XIX Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Jak się okazało, dość liczną była grupa przeciwników festiwalu. Organizatorom postawiono szereg różnorakich zarzutów, z których najpoważniejszymi były rozrzutność i marnotrawstwo. Zaprzeczano temu już wcześniej, a w czasie trwania festiwalu zorganizowano specjalną konferencję prasową, na której fachowo wyjaśniono dziennikarzom, na co wydawano i jakie były wpływy. Nigdy nie miałem smykałki do grzebania się w cyfrach, ale wyglądało to logicznie i prawdopodobnie. Zaś jeden z głównych inicjatorów KFPP, związany z nim, jak nikt inny — Karol Musioł, prezes Towarzystwa Przyjaciół Opola powiedział wprost: „Nie przeżyłbym likwidacji tego festiwalu..." No i festiwal się odbył.

Był on nieco skromniejszy niż zazwyczaj, niż w latach poprzednich zwłaszcza jeśli chodzi o tzw. oprawę (kilka lat temu topił w tym pieniądze ówczesny główny organizator — Radiokomitet). Nie znaczy to jednak, że było mniej koncertów — wręcz przeciwnie: naliczyłem ich w samym amfiteatrze więcej niż zwykle, a i imprez towarzyszących nie było mniej niż co roku.

Główne koncerty XIX KFPP były — co jest po latach pewnym novum, a o co wielokrotnie również na tych łamach apelowałem — transmitowane

Foto: CAF — Kraszewski

„na żywo" w programie telewizyjnym (i rzecz jasna — radiowym). Tak więc czytelnicy, którzy oglądali wszystko na małym ekranie nie muszą się obawiać, że na poszczególne koncerty nie mają pełnego spojrzenia, bo być może coś tam wycięto. Oczywiście, nie transmitowano wszystkich festiwalowych imprez, ale były one również rejestrowane i prawdopodobnie z pewnymi skrótami będą emitowane przez Telewizję Polską w najbliższym czasie. Przy okazji dodam, że telewidzowie festiwalowi są szczęśliwcami bowiem bilety do amfiteatru były w tym roku wyjątkowo drogie (np. miejsce w dolnej części amfiteatru, blisko estrady, kosztowało na koncert „Mikrofon i ekran" aż 300 zł). Może właśnie dlatego, poza wspomnianym koncertem finałowym i nocnym „Maratonem", nie było tym razem tradycyjnego już ścisku na ławkach dla publiczności.

Ogromne trudności wystąpiły przy tworzeniu koncertu *„Przeboje sezonu"*. Większość wykonawców piosenek z ostatniego roku, przynajmniej tych lansowanych przez Studio „Gama" (Sipińska, Frąckowiak, Skaldowie itd.), przebywa na zagranicznych tournees, inni zaś z różnych względów zrezygnowali z udziału w festiwalu „Opole 81" (Krajewski, Łobaszewska, Zaucha). Trudno się zatem dziwić, że koncert konkursowy nie był przeglądem naprawdę najpopularniejszych utworów z ostatnich miesięcy. Tym bardziej, że włączono do zestawu tytułów tego wieczoru pozycje, jakie — moim zdaniem — znaleźć się tam nie powinny („Piosenka dla córki" czy „Fruwa twoja marynara"), zapominając o innych autentycznie znanych. Pełną aprobatę publiczności, bo ona miała tutaj głos decydujący, zyskała sobie piosenka Włodzimierza Korcza i Jana Pietrzaka „Żeby Polska...", którą wraz z Janem Pietrzakiem odśpiewał stojąc cały amfiteatr. Nie rozumiem natomiast za co dostałem w głowę cegłą z polistyrenu od Izabeli Trojanowskiej — chyba za krytykę z ubiegłego roku. (Tutaj ciekawostka: do organizatorów festiwalu nadszedł telex podpisany przez Prezydium Zarządu Krakowskiego ZSMP i członków krakowskiej organizacji ZSMP, w którym domagają się oni wyjaśnienia „jakim prawem Trojanowska użyła w swoim ubiorze jednego z elementów stroju organizacyjnego czerwonego krawatu profanując jego symboliczny charakter dla ZSMP").

„Interpretacje", wymyślone w miejsce opolskich „Debiutów", nie zdają się być pomysłem zbyt fortunnym. Są raczej jeszcze jedną furtką dla wykonawców próbujących szczęścia na opolskiej estradzie od lat bez większego powodzenia, podczas gdy zapomina się o debiutantach-laureatach z lat poprzednich i nie zaprasza się ich na festiwal (np. Ilona Wieczorek czy grupa BAJM). A swoją drogą dziwne to były eliminacje, gdzie stawały w szranki zawodowe aktorki scen warszawskich oraz autentyczne debiutantki stawiające swoje pierwsze kroki na estradzie. Dobrze, że nie popełniono gafy i nagrodzeni zostali naprawdę najlepsi — Andrzej Janeczko i „Trzeci oddech kaczuchy" (kue, kue). Jednakowoż proponuję powrót do poprzedniej, bardziej klarowanej formuły lub rozsądną jej reformację.

Z wielkim zainteresowaniem i wręcz utęsknieniem oczekiwany był *„Maraton kabaretowy"*, który po latach niebytu powrócił do Opola. Niestety, rozczarował on jurorów i chyba również część widzów (wychodzili w czasie imprezy). Większość propozycji była tematycznie jednostronna podejmując sprawy aktualne, ale w formie wtórnej, mało dojrzałej i nie bardzo atrakcyjnej. Fatalnie wypadła ta nocna impreza pod względem organizacyjnym: parę tysięcy ludzi z biletami w garści czekało blisko półtorej godziny w czasie ulewnego deszczu nim otworzono przed nimi bramy amfiteatru. W tłoku, ścisku, przemoczeni wchodzili właśnie, gdy impreza się rozpoczęła; nie wszyscy zdążyli dotrzeć do swoich miejsc. Natomiast w związku z tym opóźnieniem, zaistniała potrzeba skrócenia czy raczej „przyśpieszenia" imprezy, co zrobiono dość brutalnie: nie dokończono pierwszej części prowadzonej przez Zenona Laskowika i „Mistera Obiektywu" Bohdana Smolenia, podczas występów zmieniano dekoracje, a na koniec wpuszczono na scenę krakowską „Piwnice pod Baranami". Ten żenujący cyrk trwał do godziny szóstej dwadzieścia rano. Wytrzymali tylko najambitniejsi.

Następnej nocy w zgoła lepszej aurze Jan Pietrzak przedstawił stary i nowy kabaret „Pod Egidą". Nawet ci, którzy już wcześniej znali poszczególne „numery" mieli znakomitą zabawę. I chociaż „Egida" już wielokrotnie gościła w telewizji, byłoby uzasadnione pokazanie chociaż fragmentów tego programu.

Miała swój koncert również młodzież. *„Rock w Opolu"* zorganizowano w godzinach popołudniowych, a nie nocnych, jak to uprzednio planowano. Dopisała pogoda dopisała też publiczność. Kilka zespołów wywodzących się z kręgu tzw. muzyki młodej generacji pokazało ku radości widzów polskiego rocka z zachodnimi wpływami, nie zawsze zresztą w dobrym wydaniu. Była to, oczywiście, impreza pozakonkursowa.

Koncert *„Premiery — Opole 81"* to znów smutny temat. Nie przypominam sobie — a widziałem chyba wszystkie — tak słabego konkursu nowych piosenek. Z pewnością wpływ na to miała pozbawiona logicznych podstaw selekcja utworów przez komisję kwalifikacyjną. A tak na marginesie, chciałbym wiedzieć naprawdę, jaką drogą trafiła na festiwal część tych piosenek? Czy naprawdę nie wiedziano wcześniej, że utwór „Jestem automatem" był od blisko dwóch miesięcy lansowany przez Studio Młodych Polskiego Radia, a dwie pozostałe zdyskwalifikowane piosenki „puszczano" w „Nowościach z radiowych studiów" w programie I PR? Notabene: z zestawu premierowych piosenek jeszcze dwie były przed festiwalem na antenie, ale nie poszedłem z tym do Rady Artystycznej, bo i po co. Lista tytułów była krótka i skromna jak nigdy dotąd, a wszystkie miały jedną wspólną cechę: rażąco niski poziom artystyczny. Trudno się więc dziwić festiwalowemu jury pod przewodnictwem Władysława Szpilmana, które ustawiając poprzeczkę na właściwej (tak, tak) wysokości nie przyznało ani jednej nagrody. Za wielu — jak się okazuje — mamy znawców kompetentnych w sprawach piosenki, co niestety przynosi efekty wręcz opłakane.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

RECENZJE

ROZMOWY Z MAJSTREM

Z wierszami Mirosława Boruszewskiego zetknąłem się przed pięciu laty, gdy stały się rewelacją łódzkiego Festiwalu Poezji. Inżynier z Dzierżoniowa pozostawił w pobitym polu wcale silną konkurencją. Czytaliśmy maszynopis, z ciekawością oczekując przyjazdu autora. Przyjechał po pierwszą nagrodę — i osobowością swą potwierdził to, co dało się zauważyć w wierszach: szczerość, bezpośredniość, refleksyjność.

Spośród utworów, które złożyły się na pierwszy tomik („Krew i czekolada", Wydawnictwo Łódzkie 1977) najwięcej zwolenników zyskał cykl pt.: „Rozmowy z majstrem", zniewalający prostotą i autentycznością przeżyć, wywołujący zdziwienie, że o sprawach, w przedstawianiu których prym wiodła poetycka sztampa, mówić można tak zwyczajnie i prawdziwie. Odniosłem wówczas wrażenie, iż w cyklu tym Boruszewski powiedział niemal wszystko, co dlań najistotniejsze. W pogawędce z nim zastanawiałem się, czy można jeszcze — zachowując niezmąconą świeżość — kontynuować rozmowy z majstrem, czy nie zwęzi to poetyckich możliwości, czy nie stanie się wygodną (bo już w pewnym sensie sprawdzoną, potwierdzoną nagrodą) figurą retoryczną, którą można długo jeszcze eksploatować?

I oto okazuje się, że można z majstrem rozmawiać w dalszym ciągu. Przede wszystkim dlatego, iż postać majstra staje się w coraz większym stopniu pretekstem, by mówić w sposób nieskrępowany o wszelkich sprawach i zjawiskach godnych odnotowania mową wiązaną. Mówiąc inaczej znaczy to, że Boruszewski dawno już opuścił mury fabryki jako przedmiotu poetyckich inspiracji. Majster — mistrz, życiowy przewodnik, spolegliwy towarzysz wędrówki w czasie i przestrzeni, nauczyciel surowy i wyrozumiały arbiter zarazem — jest adresatem niewysłanych kartek i listów, donoszących o postępach niesfornego ucznia. Nie chciałbym uprzedzać faktów, lecz nie jestem w stanie oprzeć się przypuszczeniu, czym ta jednostronna zresztą korespondencja zakończyć się może: swoistym powtórzeniem Tuwimowskiej prośby o pozostawienie na drugie życie, o powtórne terminowanie u niepowtarzalnego majstra. To tylko żart (mam nadzieję, iż autor wybaczy), melancholijny trochę i dlatego nie odbiegający nastrojem od wierszy Mirosława Boruszewskiego.

Źródłem tej melancholii jest trzeźwa (niestety!) świadomość, że świat poetyckich wzruszeń i refleksji to zupełnie coś innego niż twarda i surowa rzeczywistość dnia codziennego, iż nawet majster nie potrafi zapobiec zmienności losu i konsekwencjom przeznaczenia. Nie bez powodu tomik „Rozmowy z majstrem" kończy wiersz-memento o ironicznym tytule „Studium pogodności":

teraz wgryzam się
w mentalność ziemi
pomału dokładnie oswajam się
z myślą
że wkrótce zastąpi mi
wszystko...

Na określonym powyżej kontraście marzeń i projekcji, a dostrzeganą co i rusz brutalnością życia zbudowana została większość wierszy Mirosława Boruszewskiego. Jest on wyraźnie świadom swego poetyckiego rodowodu, przy tym wierny inspiracjom fabrycznego życia, wielbiciel konkretu, z lubością smakujący potoczne i zgrzytliwe nieraz frazy. Chętnie więc i bez fałszywego wstydu podkreśla swą odrębność:

wyobrażasz sobie
całe życie przeżyć i tokarki od
frezarki nie odróżnić
wyobrażasz jacy są poeci

Myślę, iż poezja Mirosława Boruszewskiego — gdyby próbować wyznaczyć jej jakiej parantele — zbliża się w pewnej mierze do założeń autentyzmu, zgłaszającego postulat ujmowania w wierszu przede wszystkim własnych przeżyć poety, przekazywania jego życiowych doświadczeń, wychwytywania cech środowiska. Chodzi przy tym o oddanie przeżyć na ogół bez posługiwania się konwencjami i wymyślnymi figurami retorycznymi, o bezpośredniość i nautralność zapisu. Lecz nie są to przecież odniesienia jedyne (por. np. „List do Peipera Tadeusza" czy „Wyspy bardzo szczęśliwe").

Z poprzedzającego tomik artystycznego wyznania wiary wynika, iż potrzeby rozmowy z „mądrym życiowo, życzliwym człowiekiem" stworzył Mirosław Boruszewski swój poetycki program. Zapowiada w nim dalsze utwory utrzymane w podobnym tonie. Chyba długo jeszcze miał będzie o czym rozmawiać.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

M. Boruszewski, Rozmowy z majstrem, Czytelnik, Warszawa 1981, ss. 50, nakład 3280 egz., cena zł 20.—

POEZJA

ROZMYŚLANIA O MIŁOŚCI, ŚMIERCI I UPOKORZENIU

Gdzieś od Baudelaire'a — adres to umowny, albowiem, jak zwykle w historii literatury, daje się odnaleźć odległe antecedencje — bierze początek ów nurt poezji europejskiej, który w centrum swego zainteresowania umieszcza jednostkę ludzką, zbuntowaną przeciwko światu i jednocześnie w sposób zadziwiająco bezwolny poddającą się duchowej destrukcji. Jeszcze u romantyków sprawa zwykle przedstawiała się dość jasno: szlachetna jednostka mierzyła się ze światem pojmowanym jako zło zewnętrzne, obiektywne. Później, wraz z postępami w psychologii, problem przestaje być tak oczywisty — zło wdziera się do środka i rozpływa w poecie. Gdy więc zło przestało być w człowieku odczuwane jako „ciało obce", bunt przeciw niemu musiał być w każdym przypadku buntem przeciw człowiekowi, przeciw części jego natury. Lub wspierać postawę, którą Camus, interpretując stanowisko Nietzschego, nazwał „dumną zgodą duszy na to, czego ona nie może uniknąć".

Drugi, po prawie dziesięcioletniej przerwie, tomik Grzegorza Kościńskiego dostarcza nam świadectw, że zarysowany tu problem znajduje także współcześnie swoje kontynuacje. Już jego tytuł, „Moja biedna malutka ukochana" przywołuje na pamięć tytuły Baudelaire'owskich dzienników intymnych. W samych wierszach zresztą mamy niemało sygnałów, że bliska jest Kościńskiemu aura charakterystyczna dla tej tradycji. W jednym z wierszy pisze:

Odbyłem podróż do źródeł nienawiści.
(...)
Wszystko jest tam doskonałe w swej
niedoskonałości.
I zbędne.
Możliwe, iż tylko tam
można się nauczyć szczerości (...)
Ale pozostaje tam człowiek
nieubłagany i okrutny,
zbędny nawet dla samego siebie
i przez samego siebie znienawidzony
— ja sam.

U tych „źródeł nienawiści" wydzielić się daje kilka splątanych ze sobą w samooskarżenie nurtów: „doskonałość niedoskonałości", „szczerość", „nieubłaganość", „okrucieństwo". U ujścia pojawia się bezwzględny wniosek: ja — zbędny, znienawidzony przez samego siebie. Pomimo to poezja Kościńskiego nie jest poezją gestów gwałtownych (takich jak np. postawa Rimbauda czy chociażby Wojaczka), ale właśnie jakby wyrażała zgodę na powolną autodestrukcję podmiotu lirycznego. Nawet śmierć pozbawiona jest tu akcesoriów, którymi tradycyjnie uprawiała swoje rzemiosło: w wierszu „Sabat czarownic" czytamy: „Dama na kielich zamieniła kosę". Tragedia nie jest już tamtą tragedią, odkąd „Kozioł się czarny na wątrobie śmieje". Od słowa „kozioł" (tragos), przypomnijmy, tragedia wzięła swoje miano. Także szatan — uosobienie zła — przestał być dawną, o b c ą mocą; to ktoś bliski, może ty sam. W prozie poetyckiej „Diabeł" mówi Kościński. „Współczesny szatan bardzo się różni od swego historycznego prototypu. Nie atakuje i nagabuje ludzi sobie obcych. Zajmuje się bliskimi. (..) Robi to właściwie niechcący. (...) ...po każdej krzywdzie potrafi znakomicie i skutecznie przepraszać. Nawet płacze. Dopiero potem daje upust swojej naturze".

Ta manichejska — choć, jak powiem o tym dalej, nie jest to najtrafniejsze określenie — walka, toczona we własnej świadomości, aczkolwiek najczęściej przybiera formę agresji skierowanej przeciw samemu sobie, poszukuje uzasadnień w świecie zewnętrznym. Może to być usprawiedliwienie poprzez relatywizację zła („Kim jesteś? Łotrem? Były większe łotry..."), może także zmierzać do poszukiwań formuły uniwersalnej („Ciągle spragnieni i wiecznie ułomni"), może również polegać na wskazaniu dysproporcji sił pomiędzy indywiduum a światem, wolą a koniecznością („Chciałem żyć — świt Dawida zabija z procy"). Wreszcie może być odwołaniem się do intencji i uczuć wyższych: „Choć to banałem, mój Andrzeju — Ocalić pragnę czyste serce" („List do Andrzeja Biskupskiego — poety-moralisty"). Już Camus jakże trafnie zauważył, że odwiecznym alibi buntownika jest przecież miłość do ludzi...

Jeden z „ciemniejszych" utworów tomiku zaczyna się od słów: „Uczysz się gardzić ludźmi, bo nie myślisz, że ta pogarda spotka samego ciebie. Ohydny żebrak, którego odepchnąłeś, napluje ci w twarz i padniesz przed nim na kolana prosząc o datek". Potem następuje szereg obrazów ukazujących wzajemne relacje między ludźmi, relacje o zabarwieniu sadomasochistycznym. Ów ktoś, do którego zwraca się poeta, doświadcza ich w kontaktach z prostytutką, przyjacielem, kochanką, żoną i dzieckiem. Ten ciąg upokorzeń zmierza do puenty: „Wtedy nie potrafisz nawet wzgardzić sobą" Tak to poeta od pogardy dochodzi do jej zaprzeczenia, nie wychodząc ani na moment poza ten horyzont. Aby rozświetlić dlaczego tak postępuje, sięgnijmy jeszcze po fragment wiersza „Refleksja":

rozmyślaniom o miłości śmierci i upokorzeniu
apokalipsie swoistej codzienności
apoteozie zbrodni której doświadczamy
potrafię przeciwstawić program pozytywny
który niczego nie zmieni
czuję się z obowiązku być jednym z
nie-wybranych i nie-odepchniętych

Być jednym z „nie-wybranych" i „nie-odepchniętych" czyli być jakim? Wydawałoby się, że „program pozytywny" Kościńskiego jest programem minimalistycznym. Ot, być średnim, przeciętnym, nijakim. Ja jednak dopatrywałbym się w nim znamion heroizmu. Obie ontologie: bycie wybranym i bycie odepchniętym kreślą nam z pozoru dualistyczną perspektywę relacji między dobrem a złem, stanowiąc w swej istocie dwa aspekty zła. Manichejski układ: dobro — zło nie zadowala Kościńskiego, odrzuca on zdecydowanie całą tę perspektywę. Zadaniem, jakie sobie stawia jego poezja, jest utrzymanie dynamicznej równowagi pomiędzy przeciwieństwami rozdzierającymi psychikę nie na dobro i zło, ale na dwie negatywne „wartości" z których jedna pochodzi z nadmiaru, a druga z niedomiaru. I one, ów nadmiar i niedostatek, są odpowiedzialne za całą sferę udręk egzystencjalnych, fizycznych i świadomościowych, którym ta poezja zaświadcza. Z konieczności wydobyłem tu jeden, jak mi się wydaje, najciekawszy problem. Być może nawet nazbyt zdemonizowałem podmiot liryczny całego tomiku Kościńskiego, na który składają się utwory różnej jakości i w różnej poetyce pisane. To przyzwolenie na nijakość, i ta cicha, bezwolna — ale wymowna — zgoda na zatracenie się może być w gruncie rzeczy niezgodą na tradycyjne wartościowanie, uznając arbitralne podziały na dobro i zło, wywyższanie i poniżenie itp. pary przeciwstawnych pojęć.

ZBIGNIEW DOMINIAK

Grzegorz Kościński, Moja biedna malutka ukochana. Łódź 1980, ss. 74, cena 20 zł, „Biblioteka Poetycka" Wydawnictwa Łódzkiego.

Belgia z radiem przy uchu

MAREK MILLER

W tamtych czasach najgorsze było wstawanie. Obudzona głowa nie chciała poderwać całej reszty. Okłamywała sama siebie, że to jeszcze nie czas, że to jeszcze sen.

Codziennie to samo. Lśniące biurka, dywany, białe orły, aparaty telefoniczne, palmy i paprotki. „Ta fabryka chodzi cudem. Niczego nie ma. Przechodnie za oknem nie zdają sobie sprawy, że stoimy przed katastrofą. Tego już nikt nie jest w stanie zatrzymać".

A jednak wszystko działało normalnie. Mijał dzień po dniu. Tylko, że rano głowa nie chciała poderwać całej reszty. Chciała oddalić obrazy z wczorajszych rozmów, chciała oddalić poranny lęk przed rodzącym się dniem.

Później przyszła ulga, że już się zaczęło. Wprawdzie lęk się podwoił, ale tkwiący w głowie granat wyrzucał z łóżka natychmiast. Zimny prysznic, zasznurować trampki, świeże powietrze w twarz. Rozpoczynał się bieg. Najgorszy jest zawsze pierwszy kilometr. Później mięśnie przywykają już do wysiłku.

Kartka nad biurkiem. Rzeczy do załatwienia: bilet lotniczy, znaczki skarbowe do paszportu, pranie, kupić wódkę, oddać krew, (i dopisek z boku: już nie trzeba, rak był szybszy), list polecający od RK do naszego korespondenta w Brukseli.

Jeszcze na odchodne kartka do sąsiadów: „Już wychodzę, już wyszedłem. Tak bliziutko do całego świata. Niech „Solidarność" i was Bóg ma w swojej opiece. P.S. Został chleb i masło roślinne — zabierzcie, bo się zmarnuje. To już wszystko. Klucz, wiecie gdzie."

Zawsze, kiedy stoję na płycie lotniska i słyszę narastający ryk silników, tak potężny, że drży ziemia i powietrze — uspokajam się. Świat ogromnieje, staje się bliski i dotykalny i wciąga w swój lej bezpowrotnie. Cokolwiek by się stało. Nigdy nie zrozumiem, w jaki sposób stalowe cielsko maszyny odrywa się od ziemi, zawisa na chwilę nieruchomo, by potem runąć w przestrzeń. By potem stać się, już na niebie, tylko maleńkim, błyskającym punkcikiem lampki sygnalizacyjnej. Wniebowstąpienie dostępne każdemu.

Od dwóch tygodni nie miałem papierosa w ustach. Jakże teraz chce się palić. W restauracji z widokiem na lotnisko wypijam setkę wódki. Przyjemne ciepło spływa do żył. „No, to trzeba się pożegnać, samemu z sobą, skoro nikt mnie tu nie żegna. I co teraz będzie? Komisja rządowa przybyła. Komisja rządowa nie przybyła. Żądamy... W skład delegacji wchodzą... Plenum, drugie Plenum. Po co ten długopis... po co ten różaniec? Zarejestrują! Nie zarejestrują. KKP obraduje. Stan gotowości. Sprawa Narożniaka — to dopiero było trzy dni temu. I co teraz będzie? Jednak był przeklęty spokój. Jednak był kochany, święty spokój. Badyle, butiki, kafelki — jeszcze rok, jeszcze dwa, a każdy by miał. Kto chciał czytać bibułę, czytał. Kto nie chciał, nie czytał. Kto chciał, podpisywał. Kto nie chciał... Na 48 godzin zamykają! Mogą nie szumieć, to by nie zamykali... Można było jednak... Wiele można było... Nie widzieć, nie myśleć, dać w łapę, przemilczeć. Z pracy do pracy, z pracy do pracy. Rzucili „keczub", rzucili „tatrzańską", Pietrzak zaśpiewał. Do przodu, jednak do przodu.

Tylko jakoś się nie kleiło, nie dodawało ziarnko do ziarnka, w gardle stawało. Wyłaziło po kątach. Spać nie dawało. Nawet morze wódy (na każdego pierwszego) nie pomagało, choć kac łeb na piersi zwieszał pokornie. „Panie, kiedy to się skończy?!" To się nigdy nie skończy, musimy się nauczyć w tym żyć, to właśnie jest demokracja. Prowokacja. Prostytucja, narkomania, więziennictwo, co z karą śmierci? Dziennik, jak żyletka, kartki na cukier, kartki na kaszę, kartki na mięso, kartki na życie... Trzeba się nauczyć w tym żyć. Lepiej już tak, jak jest, niż tak jak było, cokolwiek by się miało stać. Żeby tylko nadzieja, że chleb to chleb, a sól to sól. A gdyby nawet najgorsze... Na wszelki wypadek jednak, czytam i przyswajam sobie instrukcję: „Natychmiast po ogłoszeniu alarmu należy przedsięwziąć środki ostrożności: zdjąć okulary, krawaty, naszyjniki i inne przedmioty stykające się z szyją, wyjąć sztuczną szczękę, opróżnić kieszenie ze wszystkich ostrych przedmiotów, zdjąć buty, jeśli mają one wysokie obcasy lub podeszwy podkute gwoździami, pochylić głowę, ręce złożyć na karku w taki sposób, aby przedramieniem chronić skronie i twarz. Naprężyć mięśnie w celu lepszego zniesienia uderzenia.

Dobrze wiedzieć. Głowa ciąży coraz bardziej. Za szybą iluminatora, wąwozy chmur. W środku smukłe biodra stewardes. Sącząca się z głośnika muzyka... Sen. „Proszę się obudzić i zapiąć pas bezpieczeństwa. Za pięć minut lądujemy w Brukseli".

Jeśli ktoś przeżył dwadzieścia lat w kamienicy, gdzie słońce zagląda przez 20 minut, a obudzi się nagle w willi, gdzie okno przebiega przez całą długość ściany, to myśli, że śni mu się film. Myśli tak, bo krzaki, trawa i drzewa ogrodu wchodzą mu do pokoju. Kiedy jednak ochłoniemy już z pierwszego wrażenia, to znaczyna się zastanawiać, co my tu robimy? I wtedy przypominamy sobie najpierw miejsca, a potem twarze i słowa: „Jak to długo potrwa? My tu zbieramy pieniądze, ale komu dawać? Na KOR? Na Episkopat? Na „Solidarność"? Czy to prawda, że nie ma nic do jedzenia? Proszę pana, w 57 roku, podczas pierwszej odnowy, dostałem od władz z Polski paczkę żywnościową — dla biednych emigrantów na Zachodzie. Przecież to ja cały czas wysyłałem paczki! Dlaczego oni nas upokarzali? Jak pan sądzi, w jaką to stronę pójdzie? Jaki jest ten Wałęsa? Czy z nim będzie tak samo, jak z Gożdzikiem?"

Pomyślałem, że będzie tak samo, gdy wąskim, długim korytarzem wchodziliśmy do sali restauracyjnej Grand Hotelu w Warszawie. Grał jeszcze zespół dancingowy. Tańczyły ostatnie pary. Nagle, wokół stołu, gdzie siedział, zbiegli się kelnerzy. Ktoś podsunął mu paczkę ze zdjęciami: Lech Wałęsa w domu, z żoną i dziećmi. Lech Wałęsa z premierem Jagielskim. Lech Wałęsa... Lech Wałęsa. Podpisywał te fotografie, jak gwiazdor. Tak pomyślałem, choć nie powiedziałem im tego. I słusznie, bo dzisiaj już bym tak nie pomyślał.

A jak w Łodzi, czy w Łodzi też jest „Solidarność"? Naprawdę? Pewnie na Piotrkowskiej? Wtedy jeszcze nie na Piotrkowskiej, ale na Nawrot. Najpierw jednak biegał taki młody chłopak po piętrach, taki cały rozdygotany. Wyjmował zza koszuli projekt statutu, przywieziony z Gdańska. Prosił, żeby się podpisać na kartce, bo jak nie zbierze tych podpisów, to nie będzie Związku. No to podpisaliśmy. Dopiero potem „Wolna Europa" podała, że na Nawrot. Znacznie później, już na Sienkiewicza. Tym, co najbardziej utkwiło mi w pamięci, to zmęczenie. Gdybym potrafił opisać ich zmęczenie, to byłaby historia „Solidarności". „Tak, proszę pana, to prawda, nie spali po trzy-cztery dni. Chodzili jak cienie, niedomyci, niedogoleni, a głód zabijali papierosami. I ciągle czekali na telefony. Jak był dobry, to ściskali się i płakali. A jak zły, to wpadali w apatię. I tak całymi tygodniami. Tylko słoiki z datkami pęczniały od pieniędzy. Bo pieniądze, proszę pana składali do słoików."

Musiałem wszystko opowiadać po kilka razy. A czy to prawda? A czy to prawda? A czy tam, w Łodzi, jest jeszcze taki sklepik na Wschodniej? Jest. I mur był z boku, taki stary mur z cegieł. Też jest. Mówiłem, że wszystko jest na swoim miejscu. Chociaż ten mur z cegłami? Ale czułem, że chcieli, żeby potwierdzał, bo w ten sposób potwierdzali swoją przeszłość, swoją młodość, swoją tożsamość. Nie mogłem im tego zabierać. Później już, w Gandawie, do belgijskich przyjaciół chciałem mówić dalej, ale... „To niedobrze dla Europy, że tak długo nie potraficie zaprowadzić porządku. Macie długi, ale nas to nie interesuje, jaka ekipa je zaciągała. Rozliczanie, to wasza sprawa. Nasze banki chcą wywiązania się z umów. Bank to bank, a nie instytucja charytatywna."

Chcą spokoju, spokoju za wszelką cenę. Nawet złożą protest, wprowadzą embargo, ale bez złudzeń... Łódź jest dla nich tak nierealna, jak dla nas Nowa Zelandia. Jesteś katolikiem? To musisz mieć prawicowe poglądy. Jak to, nie? Przecież u nas katolicy... A co myślisz o ruchu wyzwolenia kobiet?" Nie wiem, co powiedzieć. „A co myślisz o ruchu homoseksualistów? Jak to, też nie masz zdania?" Patrzą na zegarek. „Jest już 22, wiesz, rano do pracy — muszę być w dobrej dyspozycji, szef jest wymagający. No to, hej! Jeszcze pogadamy". Jak to? Dopiero jest 22. Jeszcze nie powiedziałem im o strukturze MKZ. Jeszcze nie mówiliśmy o wchodzących w życie ustawach. Cholera, może oni po prostu nie chcą tego słuchać. Dla nich przecież pępek świata jest w Belgii.

Bruksela, Gandawa, Antwerpia, Brugge, Ostenda... Belgia, położona w północno-zachodniej części kontynentu europejskiego, zajmuje obszar... Belgia ma klimat... chociaż w Ardenach nieco ostrzejszy... kraj i ludzie... dane ogólne. Szkoda tego tutaj przepisywać. Tego o katedrach, nigdzie nie znalazłem, nawet w folderach. Może tylko u Prousta, który tym, na południu Francji, poświęcił kilka lat studiów. Ich ogrom sprawia, że stajemy się maleńcy tacy, pokorni, wyciszeni. Jak choćby tu, w Antwerpii. W środku nie kościół, ale miasto całe: Uliceplace, pomniki, cmentarze i ogrody. Miasto całe, z jego cnotami i występkiem. Nareczа gne! Pologne! Poczułem, jak nogi się pode mną uginają. Prawdę mówią ci, którzy twierdzą, że są takie momenty gdzie w ciągu kilku sekund można zobaczyć całe swoje życie i jeszcze kilka rzeczy, o których nigdy nikomu nie powiemy. Patrzyłem na niego, nie chcąc, żeby już cokolwiek mówił. (Jak to dobrze, że zabraliśmy obrączki!) Ale on wrzeszczał na całą salę: Ropa! Macie ropę!

Nad morzem macie ropę! Ropa? Przecież nad morzem nigdy nie mieliśmy ropy? Co on wygaduje? Zaciągnął mnie przed ekran. Faktycznie, z dziury w ziemi wydobywały się kłęby dymu i ognia. Płonął szyb w Karlinie.

Każdego dnia, po kilka razy, powtarzałem ten sam porządek. „Biwak" — mała czarna skrzynka i dwa pokrętła i antena. Najpierw szukałem skalą: flamandzki, francuski, angielski, hiszpański, niemiecki... Później eliminowałem szumy i trzaski. Aż w końcu łapałem: Warszawa I. Co jutro powie mi ta czarna skrzynka? Przecież to dopiero pierwsze dni. Dopiero wszystko się zaczyna.

Biegnie się, żeby biec. Jeżeli nie chcemy o niczym myśleć, to zawsze można zrobić tak, żeby zaczął się kręcić film. Trzeba tylko bardzo szeroko otworzyć oczy i skupić się nad tym, co wpada nam w soczewkę. Wtedy obrazy zatrzymane w kadrze, nabierają znaczenia i zapadają w pamięć. Później wystarczy to wszystko zmontować.

Krótka, wybrukowana kocimi łbami, uliczka — to Basisteg. Z prawej ceglany mur żandarmerii, z lewej — drzwi od garaży i oparte o mur zjedzone rdzą rowery. Sklep myśliwski z bronią. Scyzoryki, noże fińskie, maczety, pasy i kurtki wojskowe, kompasy, latarki dla nurków, plakietki: Lenin z gwiazdą, „Live to ride", Che-Guevara, Trocki, Mottor hand, saperki, siekierki.

Kanał — teraz wąską ścieżką przy bulwarze. Słońce w oczy, mgła wstająca znad wody i zatopione w niej mosty Gandawy. Nurkujące kaczki. Reklama: Tuborg World Famous Beer, odbijająca się w lustrze kanału. Głazy nabrzeża obrośnięte mchem i pospinane żelaznymi klamrami. Pordzewiałe barki Ixtus i Naja, nowiutkie łodzie motorowe. Tajemnicze ogrody za murami wysokich parkanów. Drogowskaz: Antwerpia 53 km. Zele 23 km. Wilgotny wiatr od morza... zapach stojącej wody. Cisza, spokój, solidność, porządek, sytość — Belgia.

Po raz trzeci, morze, bunkry, wydmy — ląduję w Normandii. Po raz piąty, balony zaporowe, Messerschmidty, Spitfire'y nad Kanałem La Manche. Po raz nie wiadomo który: Syberia, Irak, Kapsztad i okopy w Szkocji. Przeżyli więcej, niż później mogli przeczytać o tym w książkach. Żyją tym do dziś. Te szczegóły, szczególiki, drobiażdżki. Opowiadają chętnie, bo boją się, że to wszystko odejdzie razem z nimi. Umarł ostatni człowiek, który widział II wojnę światową — tego się boją. Jakże oni to wszystko pamiętają. „To był zwykły wojskowy spinacz, ściągał u dołu spodnie. Nikt nie chciał iść. Wszyscy czuliśmy, że to ostatnie dni. Wtedy wyskoczył taki młody podporucznik. Zgłaszali się, bo chcieli medale i dodatek do gaży. Pojechaliśmy w dwa wozy. Było już zupełnie ciemno. Mieliśmy spatrolować groblę idącą między dwoma kanałami. Na naszej mapie kończyła się ona mostem. Jechałem jako pierwszy, powoli, metr po metrze. Nagle zaczęło mi się wydawać, że coś słyszę. Pociągnąłem za spust. Huk, a potem kompletna cisza. Przybiegł ten młody i drze się na nas. Chłopaki powiedzieli, żeby się odpieprzył i jak chce, to niech sam jedzie pierwszy. Pojechał. Po 10 minutach usłyszeliśmy cichy trzask, a potem zobaczyliśmy słup ognia. Dostali przeciwpancernym. Dwóch spaliło się żywcem, a z tego młodego nie było nawet co zbierać. To były ostatnie dni wojny i nikt nie chciał umierać. Rano, okazało się, że na tym moście nie było żadnego porządnego punktu oporu. Musieli to zrobić w pojedynkę jacyś maniacy. Chłopaki poszaleli. Obstawili wszystkie okoliczne drogi, rewidowaliśmy każdego. I wtedy przyprowadzili chłopaka, miał ze 25 lat, szczupły, wysoki, w popielatej marynarce i takich samych spodniach. Mówimy mu, że wczoraj strzelał. On, że nie, że nigdy nie był w wojsku. My, że jest młody i zdrowy, że musiał być w wojsku. No i tak się z nim przepychamy. I wtedy ja wzrokiem po popielatych spodniach. A tam, u dołu, wojskowy spinacz. Mówię: „Chłopaki, o czym my z nim rozmawiamy?! Popatrzcie na spodnie. I wtedy... Mieliśmy w plutonie takiego jednego. Pochodził z Prus. Jak wybuchła wojna, jego żona była w ciąży. Powiedzieli, że wszystkie dzieci zabiorą i wywiozą w głąb Rzeszy. Kazał jej wtedy skakać ze stołu... Po jakimś czasie nie pozwalaliśmy mu odprowadzać schwytanych jeńców, bo nigdy nie docierali do dowództwa. Teraz, podszedł do tamtego i zaczął strzelać z odległości kilkunastu centymetrów. Dwóch z nas zwymiotowało. Cholera, to był taki zwykły, wojskowy spinacz".

Starsza pani, siedząca przy stoliku z boku: „Hej młody Polak!" Podnosi kieliszek z winem. Skąd ta Flamandka mówi po naszemu? „Ona tu często przychodzi. Pewnie kochała się kiedyś z naszymi chłopakami. I zna trzy słowa na krzyż. Tutaj, co miasteczko, to ktoś z nas zostawał. Ludzie wtedy bardzo chcieli się kochać, zapomnieć o tym wszystkim, co przeżyli.

Przy wejściu do koszar zatrzymuje mnie wartownik. Mam zostawić paszport na portierni. „Polak?" Przeprasza. Z dziedzińca na prawo. Na ścianie kasyna portrety pary królewskiej. — on obowiązkowo w mundurze oficera lotnictwa, uśmiechnięty, przystojny. Co roku, w okresie świąt Bożego Narodzenia, przyjeżdżają tu z całego Beneluxu. Bufet, orkiestra — bal. Sale, tradycyjnie już, wypożycza garnizon Gandawy. „W ubiegłym roku chcieli podnieść nam opłatę". Osobiście poszedłem do burmistrza. „Wy, Polacy, za dużo chcecie" — powiedział. Krew mnie zalała. A co pan zrobił dla Gandawy? Czy choć raz w życiu pierdnął pan ze strachu dla tego miasta? Zgodził się, że nie. I została stara cena.

A więc bal — walce, polki, tanga. Toalety pań i przyprószone siwizną głowy panów. Drinki przy bufecie. „Proszę pana, włóczyliśmy się po całym świecie, ciułaliśmy pieniądze, chroniliśmy własną dupę, żeby nas nie zabili. Chcieliśmy to wszystko przywieźć do Polski, żeby była lepsza niż przed wojną. Nauczyliśmy się różnych zawodów, języków obcych, oglądy jakiejś nabraliśmy. Przecież to bardzo by się przydało w takim zniszczonym, wymordowanym kraju. Jeszcze łudziłem się do procesu grupy Tatara. A później? Później już było za późno...

W Gandawie są dwa polskie kluby. Jeden, wspomagany przez naszą ambasadę i drugi Związku Wolnych Polaków w Belgii. Drudzy mają za złe pierwszym, że współpracują z naszą placówką po to, żeby taniej jeździć do Polski. Pierwsi mają za złe drugim, że są uparci jak muły i że przez te lata niczego nie zrozumieli. Chodzę do jednych i do drugich, ale czuję się źle w tej podwójnej roli, bo próbują wyciągać ze mnie, co tamci na nich powiedzieli. Bardzo to wszystko smutne i koszmarnie powikłane. Ale co mnie to wszystko obchodzi. Jak umarł Stalin, miałem trzy lata. I nigdy już nie zrozumiem wszystkiego, co chcą mi powiedzieć. Próbuję tłumaczyć, że teraz powinni być wszyscy razem. Tak, jak to robią Włosi, Żydzi, Niemcy. Bezskutecznie. Mają swoje istotne argumenty. Tak, to prawda, nie czytałem wczesnych prac Dmowskiego. Tak, to prawda, Legiony są dla mnie pojęciem mglistym. Tak, to prawda, nie znam bliżej kręgów paryskiej „Kultury". W 1968 roku, na Placu Wolności, uciekałem przed pałkami milicji — też nie wiedziałem, dlaczego. Miałem 17 lat, byłem uczniem technikum i wyszedłem z domu kupić chleb. Moi koledzy w klasie też nie wiedzieli.

Zimny prysznic. Zasznurować trampki. Świeże powietrze w twarz. Rozpoczyna się bieg. Najgorszy jest zawsze pierwszy kilometr. Później mięśnie przywykają do wysiłku. Piotrkowska. Kolejka przed monopolowym po wódkę, kolejka przed rożnem po kurczaka, kolejka przed kioskiem po papierosy, kolejka przed Centralem po mleko. Kolejka przed... po... Mickiewicza. Park Poniatowskiego, korty tenisowe, staw, pomnik i cmentarz żołnierzy radzieckich. Żwirki. Znów Piotrkowska. Przejście podziemne: strajk studentów Łodzi, wolne soboty — arbitralne decyzje władzy były przyczyną kryzysu, dziś wyrzucili jedną komisję, a jutro? Do utraty tchu. Demokracja tak — anarchia — nie. Msza poświęcona Marszałkowi Piłs... — reszta zerwana, wystawa z lat 56-68-70-76, październik 56 — 68 — 70 — 76, październik 56 — kazano zapomnieć. Plastikowe torby, oscypki, kwiaty, biegające myszki. Otwór z kawałkiem nieba. Znów Piotrkowska. Jestem w domu. Jestem w Polsce. Jestem u siebie.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Na zaproszenie Komitetu Centralnego PZPR i rządu złożył wizytę w Polsce minister spraw zagranicznych ZSRR — A. Gromyko. Sytuacja międzynarodowa jest wciąż złożona i niebezpieczna. Nie tylko nie udało się przecież przyhamować tempa zbrojeń, lecz, co więcej, jest ono powiększane. Wprawdzie trwają kontakty radziecko-amerykańskie i uważa się, że przygotują one grunt do rokowań na temat rakiet w Europie jednakże do ich początku jeszcze daleko. Rozmowy radzieckiego ministra w Warszawie wypełnione były i tematyka bilateralną i międzynarodową. Związek Radziecki i Polska chcą i będą szły nadal drogą, wskazaną przez Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie i są jak najbardziej zainteresowane rozwojem odprężenia, które dziś przede wszystkim musi oznaczać zatrzymanie wyścigu zbrojeń.

Z powodu wspomnianej wizyty, posiedzenia Sejmu i sesji RWPG w Sofii, w której uczestniczył premier W. Jaruzelski — prasa zagraniczna znów dużo uwagi poświęciła Polsce. Wiele komentarzy odnosiło się także do zakończonej kampanii konferencji wojewódzkich w partii oraz ostatniej fazy przygotowań do IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR.

Wydarzeniem obserwowanym szeroko w różnych krajach była wizyta **W. Brandta w Moskwie.** Jak można zorientować się z oficjalnych wypowiedzi, głównym tematem rozmów było powstrzymanie amerykańskich zamiarów rozmieszczenia na terenie zachodniej Europy broni rakietowej średniego zasięgu. Agencje zachodnie zauważają że ZSRR wysuwa nową wersję moratorium która, ich zdaniem, może zainteresować Stany Zjednoczone. Sam zaś Brandt powiedział że nowe w sformułowaniu ujęcie radzieckiej propozycji w sprawie zamrożenia zbrojeń w dziedzinie eurostrategicznej jest „interesujące" i przynosi „realistyczne punkty zaczepienia w sprawie rokowań".

Prasa zachodnioniemiecka, bo ona ze zrozumiałych względów najwięcej uwagi poświęca moskiewskiej wizycie Brandta, pisze o poprawie klimatu politycznego „na linii Moskwa — Bonn" pewnych widokach na rokowania misji, której „wyników nie można jeszcze w pełni ocenić" i ciągle jeszcze wątłych nadziejach na porozumienie w sprawie rakiet...

Pozostawmy te tematy, aby nieco porozmawiać **o wyborach powszechnych w Izraelu.** Wprawdzie nie jest jeszcze znany ostateczny wynik — jednak szacunki komputerowe wskazują na to iż spośród dwóch głównych rywalizujących partii — Partia Pracy Peresa uzyska w parlamencie (Knesecie) 49 mandatów, podczas gdy rządzący dotąd blok rządowy Likud Begina — 48. Bieżący tydzień przesądzi o konfiguracji rządowej, w dniu natomiast, w którym piszę komentarz powszechne jest przypuszczenie że i Begin i Preres zabiegać będą o koalicje — pierwszy z ugrupowaniami prawicowymi i religijnymi, drugi — z innymi niewiele znaczącymi ugrupowaniami, aby zmontować gabinet centrolewicowy. Szanse daje się większe Beginowi, za sukces Peresa zaś uznaje, że jego partia będzie najprawdopodobniej stanowić największą w historii tego kraju opozycję parlamentarną. Ale, podkreślmy, ostateczne rozwiązanie nie jest jeszcze przesądzone.

Co oznacza jedno lub drugie rozstrzygnięcie dla polityki zagranicznej Izraela? Agencje zachodnie podkreślają, że w programach nie ma zbyt dużych różnic. Jeśli jednak wygrałby Peres — na Bliskim Wschodzie może zapanować trochę większy spokój ponieważ zabraknie wojowniczości Begina i jego częstych ataków na przywódców europejskich. Ale i on nie będzie prowadził do wycofania się Izraela z zachodniego brzegu Jordanu, oddania Arabom wschodniej części Jerozolimy oraz negocjacji z Organizacją Wyzwolenia Palestyny... Obaj politycy dodajmy, są zwolennikami rozwiązań bliskowschodnich w myśl porozumień z Camp David.

Przegląd wydarzeń minionego tygodnia kończymy wydarzeniami **w Iranie.**

Na 24 lipca zapowiedziano wybory prezydenckie, a kandydaturę na to stanowisko zgłaszano w dniach 4—6 bm. Jaki będzie wynik wyborów — trudno przesądzić, choć fundamentaliści islamscy generalnie rozprawiają się ze swoimi przeciwnikami. Trwają nieprzerwanie aresztowania i egzekucje działaczy opozycji lewicowej, władze zachęcają do donosów i ścigania przeciwników, inwigilowani są dziennikarze zagraniczni...

Równocześnie irańskie MSZ odrzuciło iracką ofertę zawieszenia broni przekazaną przez specjalnego wysłannika sekretarza generalnego ONZ, oświadczając że „Iran będzie kontynuował wojnę, dopóki agresywne siły nie zostaną wypędzone z ziemi islamskiej".

W Iranie — piszą niektórzy komentatorzy — wszystko jeszcze może się zdarzyć...

W. SŁAWSKI

LEWYM OKIEM

OPOLSKIE BEZRYBIE

Według programów, publikowanych w prasie, miały być w telewizji filmy, ale festiwal opolski poszedł na całość i co dzień przekraczał swój telewizyjny czas w dwójnasób. Tylko dlatego — licząc na film — włączyłem się w festiwal, który sam w sobie nie skłoniłby mnie do włączenia telewizora; tylko dlatego wysłuchałem paru długich fragmentów — nie mogę powiedzieć, że z przyjemnością.

O piosence pisze się u nas z namaszczeniem, patosem i bardzo śmieszną powagą. Działa cały legion publicystów obdatanych w tym temacie i w tym środowisku, gdzie o każdym mówi się familiarnie „Wojtek", „Baśka", „Kuba" i „Halinka". Działają, działają i wciąż mamy w otoczce wielkiego humbugu wielką chałę, a miłe proste, śpiewane piosenki chodzą sobie zupełnie innymi drogami.

To jest grono ludzi bardzo zadowolonych z siebie. Jeden z członków jury, pan Skrzek, najpierw obwieszcza w wywiadzie radiowym, że „uchodził za apostoła piosenki przez wiele lat", a potem — że ma na przyszłości „bardzo interesujące koncepcje". Byłoby ładniej, gdyby ktoś inny uznał je za takowe. Scenograf, pan Grabowski, skromnie stwierdza, że jego scenografia festiwalowa to było „coś, co się na pewno długo zapamięta". Byłoby ładniej gdyby to stwierdził ktoś inny. Członkiem jury jest Wojciech Młynarski, którego kilka (świetnych, ale nie nowych, dawno ogranych) tekstów produkują uczestnicy festiwalu. Byłoby ładniej, gdyby autor nie osądzał własnych piosenek.

Cały materiał festiwalowy przechodził wiele sit i eliminacji. Artyści śpiewali najpierw przed surowymi sędziami, którzy wybrali (chyba...) to, co najlepsze. Jeśli więc w piosence „Bo gdy się milczy, milczy, milczy", słysze dobitnie eksponowane słowo **„wlanca"**, jeśli w innej (zresztą starej) piosence słysze „zielono mi, bo dłonie masz jak konwalie" (!!), to przerażenie musi ogarniać na myśl, jak wyglądały piosenki nie dopuszczone do popisu.

A poza tym — proszę państwa! — cóż za wspaniałych bojowników, jakich straceńczo odważnych, groźnych, nieugiętych buntowników mamy w kadrze naszego show biznesu! Jakie brawa tysięcy rodowitych chłopów siedzących na opolskiej widowni, kwitują buntowniczy song o chłopach, którzy właśnie powinni „osadzić kosy na sztorc i stanąć pod lasem..."! Jak podoba się paru tysiącom niewinnych nastolatków uroczy refren: „Frruwa twoja marynara..."! To przecież ich język, innego nie znają, to ich spod serca wyjęty slogan: kurr... przepraszam: frruwa twoja ma... Jaki nabrzmiały bunt pulsuje w słowach: „Za dużo słyszę, by zgodzić się z tym, za dużo widzę, by cicho być..."

Bardzo to żałosne podrygi w stronę „odnowy". Czy nie zauważyliście, że nie było **ani jednej** piosenki wesołej, czy zwyczajnie — lirycznej? Mówię o tekstach, bo o muzyce powiedział już co trzeba Władysław Szpilman. To było nieustanne fortissimo w ciągle tym samym rytmie, z dominantą rytmu nad melodią. Możemy być na następny rok pewni, że na wszystkich imieninach, wycieczkach, ogniskach będzie się nadal śpiewać „Umówiłem się z nią na dziewiątą" i „Już nigdy", bo z tego co słyszeliśmy w Opolu, nic się do śpiewania nie nadaje.

Mógłbym jeszcze o strojach, świadczących o zaniku dobrego smaku wśród estradowego milieu. Takich „kreacji" nie zobaczylibyście — dla przykładu — w Czechosłowacji, ani we Francji. Albo szorty, albo powiewające bez ładu i składu strzępy różnej materii, a już koniecznie ogromne, owłosione, spocone dekolty panów. I mógłbym o „choreografii", czyli o ruchu towarzyszącym piosence: o cyrkowych podskokach wyżej metra przy utworze „Jestem automatem", o żałosnej parodii konnej jazdy, o tych tupotaniach, wygibasach i wypięciach, żadnym pretekstem nie umotywowanych, a więc stanowiących zbędny, sztuczny, wysilony ozdobnik. Nie chcę jednak sprawić wrażenia, że w ogóle nic mi się nie podobało. Owszem, nawet w festiwalu opolskim parę rzeczy odebrałem jako ładne. Ale za mało, za mało! To przecież miał być festiwal, a nie chałtura na bardzo głuchym bezrybiu!

ĆWIEK

SPORT

NADZIEJE

Śmieszy mnie i przeraża zarazem taki widok. Oto do lasu zjeżdża swoim ukochanym samochodem cała rodzina na niedzielną wycieczkę. Jest piękna ciepła pogoda. Wycieczkowicze zatrzymują się gdzieś wśród drzew, na skraju lasu, gdzie samochodom wolno parkować, otwierają drzwi samochodu i... wdychają świeże, leśne powietrze. Po jakimś czasie drzwi zamykają i wracają do miasta. Śmieszy mnie taka forma wypoczynku, kiedy mieszczuchom nie chce się wyjść z samochodu. Przeraża, bo stajemy się społeczeństwem coraz bardziej siedzącym.

Bardzo dużo czasu spędzamy siedząc. Siedzimy w pracy, w domu przed telewizorem, siedzimy w kinie, w kawiarni, w restauracji, na wizycie. Gdyby dokładnie policzyć te wszystkie przesiedziane godziny w ciągu dnia, to okazałoby się, że na ruch, na spacer choćby, czasu nie pozostaje nam wcale, a co więcej często nie mamy na to zbytniej ochoty. Po prostu odwykamy od spaceru, nie mówiąc już o jakiejś bardziej intensywnej formie rekreacji.

Mało tego. Oto dowiedzieliśmy się niedawno, że studenci Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu postanowili wystąpić z żądaniem zniesienia obowiązkowych zajęć z wychowania fizycznego. Po prostu chcą, aby na zajęcia z „wuefu" chodzili tylko ci, którzy mają na to ochotę, czyli praktycznie nikt. Wiadomo przecież, że nasza młodzież nie pała miłością do ćwiczeń fizycznych. Młodzież studencka również. Zresztą w latach siedemdziesiątych, w pogoni za sukcesami uśmiercono skutecznie sport akademicki.

Narzekanie na niechęć młodzieży do ćwiczeń fizycznych, na jej zainteresowanie alkoholem i narkotykami do niczego nie prowadzi. Nie wystarczy bowiem piętnować skutków, trzeba szukać przyczyn i je usuwać. A cóż jest przyczyną tej niechęci?

Odbył się niedawno Sejmik Kultury Fizycznej. Z tym sejmikiem ludzie, którzy rozumieją znaczenie kultury fizycznej w rozwoju społeczeństwa, wiążą wielkie nadzieje. Poddana bowiem została wnikliwej krytyce sytuacja kształtowania postaw, które warunkowałyby takie zainteresowanie społeczeństwa kulturą fizyczną i w procesie wychowania wyrabiałyby niezbędne nawyki. Prawda jest taka, że aby Jan był zdrowy, trzeba odpowiednio wychowywać Jasia już w przedszkolu. Ale u nas brakuje około 10 tysięcy nauczycieli wychowania fizycznego. Czego nauczy Jasia duży Jan, który na uczelni unikał zajęć z wychowania fizycznego, bo uważał, że matematykowi, biologowi, geografowi, czy historykowi w przyszłej pracy nie będzie to potrzebne, że szkoda na to czasu?

„Sztandar Młodych", który ma najlepiej prowadzony w gazetach codziennych dział sportowy, zacytował słowa prof. dr Tadeusza Ulatowskiego: „Trzeba skończyć z mitem, że jeśli nie ma dobrego wychowania fizycznego i sportu w szkole, to może być dobra reprezentacja olimpijska". Trudno się z tym zdaniem nie zgodzić. Pewien mój znajomy, choć nie ma naukowych tytułów, twierdzi, że jeśli na podwórkach nie będzie pełno „Bońków", „Królaków", „Kozakiewiczów" i innych postaci, w które młodzież chciałaby się wcielać, to nie będzie ani dobrej piłki nożnej, ani kolarstwa, ani lekkoatletyki. I sądzę, że ma rację.

Sejmik Kultury Fizycznej wystosował list otwarty do IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Cieszy to gdyż ważna jest ranga jaką w programie odbudowy zdrowia narodu nada się sportowi i wychowaniu fizycznemu. Czy znowu sport będzie li tylko „dowodem" naszych wspaniałych sukcesów? Czy może będzie wyrastał z silnej bazy, ze społecznego zainteresowania wychowaniem i kulturą fizyczną? Ja opowiadam się za tym ostatnim. Ale — nie łudźmy się — zjazd tego nie załatwi. Zjazd może wypowiedzieć się, jaką uwagę, jakie znaczenie partia chce nadać sprawom zdrowia narodu i jego rozwoju fizycznego. Jest to sprawa o ogromnym znaczeniu dla przyszłości Polski.

Nadanie właściwej rangi kulturze fizycznej to tylko założenie, teoria. Musi ona sprawdzić się w praktyce. A to już nie jest rola zjazdu. To już rola i zadanie dla tych wszystkich, którzy kulturą fizyczną zajmują się na co dzień, którzy o tej codzienności kultury fizycznej decydują, nie zawsze ją doceniając. Musi więc powstać ruch społeczny na rzecz rozwoju kultury fizycznej. Rozumiem to tak, że sprawy zdrowia i wychowania fizycznego narodu muszą znaleźć się pod społeczną, czyli naszą kontrolą, a my sami musimy zrozumieć rolę i sens takiej działalności i takiej kontroli.

BOGDA MADEJ

POLEMIKI

UDERZ W STÓŁ....

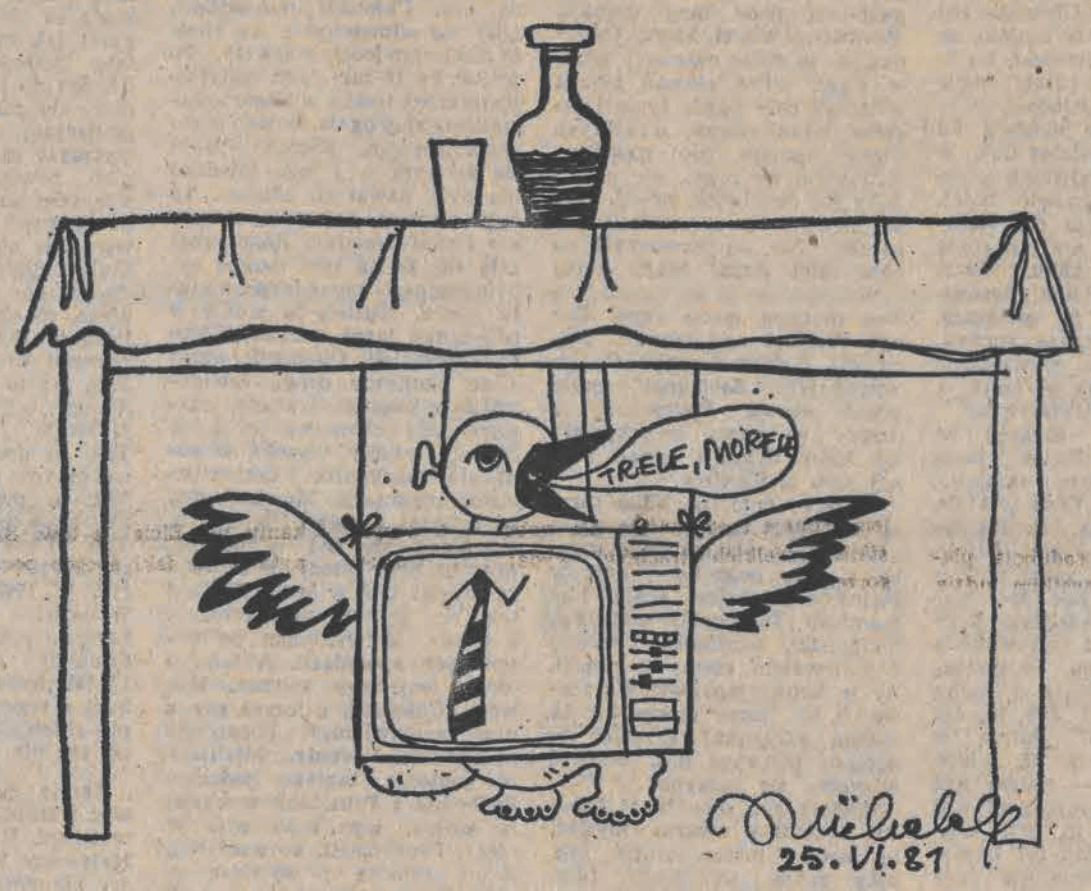

W związku z polemiką z red. H. Rumowską.

Rys. Jerzy Michalak

★ MIĘDZY TOBĄ A MNĄ ★ MIĘDZY MNĄ A TOBĄ ★ MIĘDZY NAMI A WAMI ★ MIĘDZY WAMI A NAMI ★

KRÓTKI KURS POROZUMIEWANIA

II

Codziennie każdy z nas rozmawia co najmniej z kilkoma osobami. Z członkami rodziny, z kolegami w pracy, z sąsiadami. Z przyjaciółmi i z zupełnie nieznanymi osobami. Z dorosłymi i z dziećmi.

Każdemu z nich chcemy coś przekazać. O czymś poinformować. Czy naprawdę przekazujemy to, co chcemy? Czy mówimy dość jasno i bezpośrednio? Czy potrafimy słuchać tego, co mówią do nas nasi rozmówcy? Jednym słowem, czy potrafimy porozumiewać się między sobą?

NIE — twierdzą psychiatrzy i psycholodzy. Zaburzenia w porozumiewaniu się stanowią jedno ze źródeł poważnych konfliktów i sprzyjają powstawaniu nerwic.

NIE — dodają specjaliści zajmujący się komunikowaniem w społeczeństwie.

Ostatnie lata wykazały aż nadto boleśnie, iż jedną z przyczyn społecznego kryzysu były całkowite zakłócenia w porozumiewaniu się między władzą, a społeczeństwem.

Musimy nauczyć się dyskutować, polemizować i spierać. Musimy nauczyć się rozmawiać jak obywatel z obywatelem, szef z podwładnym, kolega z kolegą, mąż z żoną, a więc jak CZŁOWIEK Z CZŁOWIEKIEM.

Długa to będzie nauka.

Na łamach „Odgłosów" kontynuujemy nasz cykl analiz sposobów porozumiewania się między ludźmi w zwykłych, codziennych sytuacjach. Naszymi doradcami są pracownicy Ośrodka Leczenia Nerwic przy Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Łodzi.

ROZMOWA DRUGA, CZYLI „TA OKROPNA SZEFOWA"!

Szefowa: — Pani Zosiu, co pani tak długo robi z tym opracowaniem. Kiedy będzie gotowe?

Pracownica: — Mam już zebrane wszystkie materiały. Jeszcze tylko kilka uzupełnień i zacznę pisać.

Szefowa: — Dopiero! Już tydzień temu to pani poleciłam. Rozumiem. Rozumiem. Pani wcale nie ma w pracowni. Bawi się pani w pracę społeczną. Ciągle siedzi pani na zebraniach. I nie dostałam jeszcze od pani raportu.

Pracownica: — Raportu? Pierwszy raz słyszę, że do moich obowiązków należy przygotowywanie raportów.

Szefowa: Pierwszy raz pani słyszy! Przecież pani już cały rok pracuje.

Pracownica: — No właśnie. Przez cały rok pani mi o tym nie mówiła.

Szefowa: — Myślałam, że pani się sama domyśli. Wszyscy pani koledzy przygotowują sami raporty. Radzę się przyjrzeć jak oni to robią.

Pracownica: — Ale ja naprawdę nie wiem jak się sporządza raporty. To jest tak samo pani zadanie, żeby mnie tego nauczyć. Tylko, że pani nigdy nie ma dla stażystów czasu.

Szefowa: — Nie wydaje mi się, aby była pani upoważniona do wydawania takich sądów. To pani uważa, że ja się nie wywiązuję ze swoich obowiązków. Dobre sobie! Skończmy lepiej tę rozmowę, bo do niczego pożytecznego nie dojdziemy. Proszę jak najszybciej przygotować ten raport i opracowanie. I nie zajmować się związkami podczas pracy.

* * *

Komentują mgr **Maria Chańko**, mgr **Ewa Siniarska**, mgr **Jolanta Olszewska** i dr **Andrzej Góraj**.

Obserwujemy kolejny przykład zakłóceń w porozumiewaniu się. Szefowa chciała zwrócić uwagę pracownicy, że ta niewłaściwie wywiązuje się ze swoich obowiązków. Nie ma wątpliwości, że miała rację. Zrobiła to jednak z pozycji bardzo surowego, autorytatywnego szefa. Pracownica czuła się winna i ukarana, ale nie pokazała tego po sobie. Przeciwnie, ton i sposób zwracania uwagi przez szefową powodował, że stawiała jej opór. W momencie, kiedy przełożona uderzyła ją w czułe miejsce i nazwała jej pracę społeczną — zabawą, poczuła się upokorzona. Teraz ona z kolei chciała dokuczyć szefowej. Zrobiła to mówiąc, że tamta rzadko bywa w pracy i nie ma czasu dla stażystów, co niewątpliwie było niedopełnieniem obowiązków. Na swoją obronę przełożona nie miała żadnych argumentów. Zakończyła więc rozmowę zwracając uwagę, iż nie należy krytykować kierownictwa. Pracownica natomiast mogła się bronić tylko jednym — że wcześniej nie wprowadzono jej w tajniki sporządzania raportów i nie ustalono zakresu obowiązków.

W rezultacie rozmowa zakończyła się fiaskiem. Rozmówczynie rozstały się w przekonaniu, iż kierowniczka jest okropna, a stażystka bezczelna. Można się spodziewać, że w tych opiniach będą się utwierdzać. Ani na krok dalej nie posuwa się w ten sposób wiedza zawodowa stażystki. Szefowa nie powiedziała też nic pozytywnego o pracy pani Zosi, a zapewne mogła znaleźć coś zasługującego na pochwałę. Gdyby szefowa rozmawiała z mniejszego dystansu, a pracownica przyznała się wcześniej, że nie wypełniła obwiązków, zobowiązała się, że jak najszybciej to odrobi, a szefowa obiecała pomoc — może rozmowa miałaby inny przebieg, z korzyścią dla obu pań, a przede wszystkim wykonywanej pracy. Prowadzona w ten sposób wykazała jedynie niewłaściwe stosunki w pracy, zaniedbywanie stażystów przez kierownictwo i niewielkie korzyści zawodowe z takiego stażu. A jak jest w mojej pracy? Jak rozmawiam z pracownikami? Jaką jestem szefową? Szefem? Pracownikiem?

cdn.

Do druku przygotowała:
MAŁGORZATA GOLICKA

Tygodnik społeczno kulturalny „Odgłosy"; ul. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680 99, publicyści 677 70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00 958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153-201015-139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-438 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1478. K-5.